

Valorie Scott

Wyspa szczęścia

## Rozdział 1

Płonąca, pomarańczowa tarcza tropikalnego słońca tonęła powoli za szarym horyzontem południowego Pacyfiku. Melissa Arnell przechadzała się bez określonego celu po bezludnej plaży. Jej nagie stopy zostawiały ślady na delikatnym białym piasku, a pod podeszwami czuła wilgotną świeżość gruntu. Jaskrawa biel obcisłych szortów podkreślała aksamitny, złoty ton jej długich zgrabnych nóg. Nosiła do tego bluzeczkę z delikatnego dżerseju w kolorze bakłażanów, która uwypuklała okrągłości jej dziewczęcego biustu. Melissa zatrzymała się i spojrzała rozmarzonym wzrokiem na morze. Ciągle nie mogła uwierzyć, że ziściło się jej marzenie o podróży na południowy Pacyfik. „Wyspą szczęścia” nazwał pilot ten rajski zakątek lądując na wąskim pasie wśród ogromnych, kwitnących krzaków hibiskusa. Melissa nie mogła napatrzeć się do syta rozrzuconemu pięknu wspaniałych, żarzących się czerwienią kwiatów. Tak przepysznej przyrody nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Po raz pierwszy widziała także wysokie palmy kokosowe pochylające się łagodnie nad lądem i ich szerokie soczystozielone liście cicho szumiące w lekkiej bryzie. Wokół wyspy rozciągała się wspaniała biała plaża, w którą uderzały fale turkusowego morza. Melissa westchnęła cicho ze szczęścia. Ta wyspa rzeczywiście zasługiwała na swoje miano.

Spośród tej wspaniałej tropikalnej roślinności wyłaniały się smukłe wieżyczki, wyglądające jak tajemnicze pozostałości z romantycznego świata baśni. Wprawdzie budynek, który zdobiły, był hotelem, ale i z bliska nie tracił on swojego czaru. Melissie w każdym razie zdawało się, że przebywa w zaczarowanym pałacu.

Samolot wylądował na wyspie przed południem. Krótką drogę z lotniska do hotelu przebyła pieszo razem z paroma innymi pasażerami. W tym czasie wróciła myślami do

wydarzeń, które tak nieoczekiwanie umożliwiły jej zrealizowanie tego, o czym od dawna marzyła.

Przed kilkoma tygodniami zmarł na zawał jej ojciec. Bardzo go kochała. Jego młoda żona, Nedra, z którą ożenił się dopiero przed dwoma laty, zaproponowała jej tę wspólną podróż. Oszczędności jej ojca, które zostawił w spadku, mogły pokryć koszty.

Początkowo Melissa ociągała się, ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej podobała jej się ta myśl. Dlaczego nie miałyby skorzystać z okazji i nie poznać trochę świata? Jej ojciec nie miałby na pewno nic przeciwko temu. Zgodziła się na propozycję Nedry, namawiając ją jednocześnie, aby pierwszym celem była Tahiti. Zamieszkały w hotelu, w stolicy Tahiti - Papeete. Stąd właśnie wyruszyły później na „Wyspę Szczęścia”. Stopniowo chciały zwiedzać także i inne wyspy.

Melissa obserwowała kremowobiałą pianę tworzącą się w miejscu zetknięcia się wody z piaskiem. Po chwili podniosła głowę i spojrzała w dal. Wzrok jej przyciągnęły dziwacznie uformowane, poszarpane skały wznoszące się groźnie ku niebu. Przyspieszyła kroku. Złowiła uchem szum wody rozbijającej się w tym miejscu o stromą skałę. Ale w ten szum wmieszał się jeszcze jakiś inny osobliwy dźwięk, coś w rodzaju monotonnego nucenia.

Zaciekawiona Melissa podbiegła bliżej. Wdrapała się na najbliższą skałę i stanęła jak wryta. W zatoce pod skałami stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Szeroko rozstawiwszy nogi na piasku, wyciągał przed siebie ramiona, a jego wzrok błędził gdzieś po morzu. Głębokim barytonem o pięknym brzmieniu śpiewał: Someday my love will come, someday my love will come - „Nadejdzie kiedyś taki dzień, w którym spotkam swą miłość...”

Stojąc bez ruchu Melissa słuchała ekscytującego głosu nieznajomego. Dlaczego śpiewał morskim falom? - pokręciła

głową. Chciała odejść nie zauważona, ale było już za późno. Zobaczył ją, przestał śpiewać i z uśmiechem skierował się ku niej.

Melissa mimo woli cofnęła się o krok. Kim był ten mężczyzna?

Melissa przyjrzała mu się dokładniej.

Mężczyzna był niewątpliwie atrakcyjny. Miał na sobie modne białe szorty i rozpiętą aż do pasa żółtą koszulę, spod której wystawała masa gęstych, skręconych, czarnych włosów na opalonych na brązowo piersiach. Jego uśmiech pogłębił się, a pełne wyrazu oczy rozbłysły. Nieład czarnych loków na głowie wskazywał na rzadki kontakt z grzebieniem - podobne były do czarnych koralików.

Melissa chciała coś powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Natomiast przystojny nieznajomy od razu zasypał ją gradem słów.

- A więc przyszła pani - rzekł cicho. - Któregoś dnia mały złoty ptaszek przyleciał zza morza z tą wieścią, że „któregoś dnia nadejdzie moja miłość”. Od tej chwili czekałem niecierpliwie śpiewając moją tęskną pieśń falom morskim. A pani ją usłyszała...!

- Tak! Pana głos brzmiał cudownie. - Melissa czuła ciekawość i była troszkę zdziwiona, ale nie bała się.

- Mały ptaszek nie kłamał - ciągnął mężczyzna. - Miłość moja nadeszła. Moja dziewczyna stoi przede mną.

Melissa potrząsnęła głową ze śmiechem. - Myli się pan. Ja nie jestem pana dziewczyną. - Chyba nie wierzyła w to, co mówił.

O, nie! Pomyłka wykluczona. Włosy pani są jasne i połyskują złościście jak piórka małego ptaszka. I związała je pani w węzeł - wyglądają jak czapeczka z piór. Jest pani reinkarnacją mojego skrzydlatego przyjaciela, jego

nieśmiertelna dusza przeniknęła pani ciało i zamieszkała w nim.

Machinalnie Melissa podniosła rękę i dotknęła włosów. Czy ten obcy kpił sobie z niej? W bardzo oryginalny sposób starał się zawrzeć z nią znajomość. Wiele już słyszała w swoim dwudziestosześcioletnim życiu, ale tak wymyślnej historyjki nie przedstawił jej żaden mężczyzna.

Nieznajomy, wcale nie speszony, nadal się jej przyglądał. - Jest pani prześliczna, a pani oczy mają klarowny błękitnozielony odcień morza, w którym odbija się niebo.

Czego chciał od niej ten mężczyzna? Gdy zrobił krok w jej kierunku, odwróciła się i szybko odeszła.

Usłyszała jeszcze za sobą ten sam cudowny baryton śpiewający: „Nadeszła moja miłość, nadeszła moja miłość...”

Melissa zaczęła biec, choć piasek hamował jej kroki. Głęboki głos prześladował ją przez całą drogę do hotelu. - „Dziś przyszła do mnie moja najmilsza...”

Melissa była zadowolona, że Nedra zdecydowała się jej towarzyszyć w wycieczce na tę małą wysepkę. Rozumiały się przecież zawsze doskonale. Od nieoczekiwanej śmierci ojca, którego każda kochała na swój sposób, zbliżyły się jeszcze bardziej. Melissa żywiła prawie siostrzane uczucia w stosunku do młodej jeszcze wdowy, która była jej macochą.

W czasie przygotowań do wielkiej podróży Melissa zauważyła, że Nedra była niespokojna i spięta. Brakowało jej ukochanego męża bardziej, niż chciała to przyznać wobec świata i samej siebie. Dlatego ciągle szukała jakichś zajęć, powstrzymujących ją przed pogrążeniem się w rozpacz i rozpamiętywaniem swojej samotności. Nedra należała do kobiet nie umiejących żyć samotnie. Bez mężczyzny u swego boku, zupełnie sobie nie radziła - takie przynajmniej było zdanie Melissy, a Nedra była jeszcze młoda, skończyła dopiero trzydzieści cztery lata. Melissa przypuszczała, że

Nedra nie pogodzi się ze swoim wdowieństwem i nie zrezygnuje ze szczęścia w przyszłości.

Ze swoim atrakcyjnym wyglądem, nienaganną figurą i miłym sposobem bycia na pewno przyciągnie do siebie rzesze wielbicieli.

Melissa roześmiała się mimowolnie. Jej ojciec wykazał rzeczywiście dobry gust żeniąc się z o tyle młodszą, atrakcyjną kobietą. Wniosła w jego dom dawno utraconą młodość, a ten krótki okres, który im było dane przeżyć razem, był jednym pasmem szczęścia, szczęścia, o jakim nawet nie myślał od chwili przedwczesnej śmierci swej nade wszystko ukochanej żony, matki Melissy.

Gdy zdyszana Melissa dojrzała do parku hotelowego, zobaczyła Nedrę w grupie młodych ludzi odpoczywających na leżakach w cieniu palm. Melissa pomachała jej ręką i już chciała się do nich przyłączyć, ale nagle rozmyśliła się. Odwróciła się i poszła w kierunku hotelu.

Melissa czuła się do głębi wstrząśnięta. Osobliwe przeżycie na plaży uruchomiło w niej tyle emocji, że musiała je najpierw uporządkować. Może dzięki kąpieli zrelaksuje się i odzyska równowagę ducha.

Z tą myślą weszła do luksusowego dwupokojowego apartamentu, który zajmowała razem z Nedrą. W łazience napuściła wody do wielkiej marmurowej wanny w kolorze kości słoniowej.

Długo leżała w wannie bez ruchu rozkoszując się przyjemnym ciepłem wody i świeżym zapachem soli kąpielowych. Nie myślała o niczym. Odświeżona i zrelaksowana wyszła z wanny, osuszyła się i założyła cieniutką bieliznę w kolorze szampana. Kilkoma szybkimi ruchami wyszczotkowała jedwabiste, sięgające ramion włosy i w końcu wyciągnęła się na łóżku.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Nedra. - Można by pomyśleć, że spotkałaś diabła na plaży, tak pędziłaś!

- Nie pomyliłaś się tak bardzo! - Melissa uniosła się na łokciu.

- Musisz mi to bliżej wyjaśnić...

- Przytrafiło mi się coś nieprawdopodobnego. - Właściwie Melissa nie miała zamiaru opowiadać Nadrze o swej przygodzie, ale słowa same układały się w zdania i w chwilę później Nedra wiedziała już o wszystkim.

- Coś takiego - pokręciła głową. - Wydaje mi się, że tego pana trzeba skierować na obserwację. Chyba ma coś nie w porządku z głową.

Melissa ponownie ujrzała przed sobą obraz nieznanego: regularne rysy, mądre oczy, porywający uśmiech... Czy miał dołek w brodzie? Skinęła głową z wahaniem. - Chyba tak. Może jest chory?

Następnego ranka Melissa założyła znowu swoje białe szorty i bursztynową bluzeczkę z cienkiego batystu. Stopy obuła w płaskie sandały z rzemyczkami wokół kostek. Poczekala, aż Nedra się ubierze potem poszły razem na śniadanie w ogrodzie hotelowym.

Łagodna bryza przyniosła słodki zapach tropikalnych kwiatów. Stały zaskoczone przed ogromnym stołem, na którym służba hotelowa przygotowała obfite śniadanie. Każdy mógł znaleźć tu coś dla siebie. Oferowano ogromne ilości pieczywa, mięs, wędlin, ryb, serów, jaj przyrządzonych na różne sposoby i wykwintnie podanych, a także ciasta, marmoladę, miód i egzotyczne owoce. Niezdecydowana Melissa przyglądała się tej masie jedzenia. W końcu wybrała chrupiące rogaliki, masło, mango i papaję. Do tego wzięła czarną kawę.

Do posiłku usiadły z Nedrą przy stoliku na tarasie, skąd przez kolorowe klomby roztaczał się wspaniały widok na połyskliwe turkusowoniebieskie morze.

- Dzień dobry paniom!

Melissa i Nedra drgnęły zaskoczone. Podziwianie porannego słońca zajęło je tak bardzo, że nie zauważyły nadejścia wysokiego, dobrze wyglądającego mężczyzny. Stał teraz obok ich stolika i mówił coś głębokim, przyjemnym głosem.

Melissa spojrzała na niego i krew odpłynęła z jej twarzy. To był on, ten mężczyzna z wczorajszego wieczoru. Mężczyzna, którego pieśń wprowadziła ją w takie oszołomienie i konsternację.

- Mam nadzieję, że czują się panie u nas dobrze i są zadowolone z obsługi? - skłonił się.

- Dziękuję - mruknęła Melissa uciekając spojrzeniem w bok. Inaczej niż wczoraj na plaży wyglądał dziś ten nieznajomy. Miał na sobie eleganckie spodnie z białego lnu, chyba szyte na miarę. Poduszki jego dwurzędówki z cienkiej jasnobłękitnej bawełny akcentowały dodatkowo jego i bez tego szerokie ramiona, kontrastujące z wąskimi biodrami. Czarne włosy, wczoraj dziko skręcone, dziś starannie uczesane, dodawały mu atrakcyjności.

Z wielką ostrożnością Melissa odważyła się ponownie podnieść wzrok. Nic nie wskazywało na to, żeby nieznajomy pamiętał ich wczorajsze spotkanie. Nawet mu nie drgnęła powieka na jej widok. Melissa zirytowana ponownie spuściła głowę. Czy to możliwe, żeby nie pamiętał, co wczoraj zaszło? A może nie chciał pamiętać? Ale dlaczego...?

Nedra nie miała pojęcia, co dzieje się z jej przyjaciółką. Spoglądała przychylnie na atrakcyjnego mężczyznę. - Nie może być pan nikim innym, jak tylko Kirkiem Dalkeithem, panem tej wyspy! - zauważyła z uśmiechem.



- To właśnie ja. A z kim mam przyjemność?

- Ja się nazywam Nedra Arnell, a to... moja pasierbica i przyjaciółka, Melissa Arnell - wskazała głową Melissę.

- Bardzo mi przyjemnie - Kirk Dalkeith skłonił się wytwornie. - Mam nadzieję, że podoba się paniom w moim domu i na mojej wyspie i że każda z pań znalazła tu już swoje szczęście - jak to zapowiada nazwa wyspy. Żegnam panie! - po raz ostatni skinął głową, odwrócił się i poszedł do kolejnego stolika, przy którym z tą samą uprzejmością zapytał o samopoczucie swych gości.

Melissę ucieszył fakt, że Nedra nie zorientowała się w ogóle, iż ich kulturalny gospodarz i mężczyzna z plaży, o którym opowiedziała jej wieczorem to jedna i ta sama osoba. Ku swemu zaskoczeniu odczuła coś na kształt rozczarowania. Patrzyła na talerz ze śniadaniem i zupełnie zapomniała o jedzeniu. Jak mógł ten mężczyzna zachowywać się tak, jakby jej nigdy w życiu nie spotkał? Nawet, jeśli się nazywał Kirk Dalkeith i był panem tej wyspy! Jego zachowanie, wszystko jedno, czy nieumyślne czy zamierzone, było niewybaczalne. Czy też może wziął jej za złe, że wtedy tak szybko uciekła? Może przyzwyczajony był do tego, że kobiety lecą na niego, gdy tylko kiwnie małym palcem. No, co do niej, to się pomylił. Nawet gdyby wiedziała, że ten niedbały próżniak na plaży był właścicielem tej wyspy, nie zareagowałyby inaczej. Kirk Dalkeith, właściciel Wyspy Szczęścia...

Któregoś wieczoru w Papeete pewien stary mężczyzna opowiedział Melissie fantastyczną historię o tym, jak pradziadek Kirka Dalkeitha, noszący to samo imię i nazwisko, w nieprawdopodobnych okolicznościach wszedł w posiadanie tej wyspy, którą nazwał Wyspą Szczęścia. Oczywiście nie uwierzyła w tę cudowną bajkę, ale stary opowiadał tak zajmująco, że przysłuchiwała się jego słowom z ciekawością nie mogąc doczekać się końca historii.

- Mówią, że szkocki marynarz trafił wtedy na plażę jako rozbitek - zaczął z namysłem. - Wyrzuciło go morze, a tubylcy, którzy nigdy przedtem nie widzieli rudych włosów, uznali go za boga.

- Czy żył jeszcze, gdy go znaleziono?

- Myślę, że był bardziej martwy niż żywy. Ale pielęgnowano go z oddaniem i wkrótce poczuł się na tyle dobrze, że niebawem wyprawiał wesele - ożenił się z księżniczką Lele, którą tubylcy podarowali swemu jasnookiemu i czerwonowłosemu bogu mówiącemu nie zrozumiałym językiem. Ale na nieszczęście młoda kobieta zmarła przy narodzinach swego pierwszego dziecka. Tubylcy przerazili się panicznie. Obawiali się, że wraz z nowym bogiem spadło na nich jakieś przekleństwo. Najszybciej jak mogli odpłynęli w swoich łodziach i nigdy już nie wrócili. A ten biedny mężczyzna został na wyspie samotny jak palec, na dodatek z niemowlęciem.

- Jak sobie poradził z tym wszystkim...?

- Niech mnie pani o to nie pyta, ale jakoś mu się udało wychować tego małego robaczka. Później wdrapał się na wzgórze, z którego roztaczał się wspaniały widok na morze. Na samej górze rósł figowiec, w którego korze wyciął te słowa: „Ta wyspa należy do Kirka Dalkeitha, a dziedziczyć ją będzie każdy potomek noszący to nazwisko z godnością”. Po wielu miesiącach na wyspę zawinął statek. Marynarze dostrzegli ognisko rozpalone przez Szkota. Zabrali go na pokład razem z małym synkiem.

Mężczyzna pociągnął wina i ciągnął dalej.

- Mijały lata, dziecko rosło, stawało się mężczyzną - Kirkiem Dalkeithem Drugim. Po nim był jego syn, Kirk Dalkeith Trzeci. Teraz rezyduje na wyspie jego syn, Kirk Dalkeith Czwarty... Odziedziczyć taką wyspę to jest coś, nie uważa pani?

Melissa uśmiechnęła się. - To ładna historia.

- To prawda. Tak przynajmniej utrzymują tubylcy. Ale niechże się pani wybierze tam na wycieczkę i sama się przekona. Może trafi pani na ślady tej starej historii?

- To tę wyspę można zwiedzać? A jak tam dotrzeć? -  
Melissa aż się zarumieniła z emocji.

- Jest taki facet, który małym samolotem zabiera tam kilku pasażerów. W recepcji udzieli pani dokładniejszej informacji.

- Dziękuję - Melissa wstała od stołu. - Pańska historia bardzo mi się spodobała.

Później Melissa opowiedziała Nedrze o szkockim panu południowej wyspy i zaproponowała, żeby obejrzeć Wyspę Szczęścia z bliska.

- Jeśli ci to ma sprawić przyjemność, to chętnie ci będę towarzyszyć - Nedra zawiesiła głos. - Może przeżyjemy jakąś niespodziewaną przygodę. Może jednej z nas uda się oczarować swym wdziękiem pana tej wyspy i... kto wie...

Melissa zaśmiała się cicho. - Nedro, jesteś niepoprawna!

- Dobrej nocy, Melisso.

- Dobranoc - Melissa długo jeszcze leżała z otwartymi oczami. Ciągle rozmyślała o zasłyszanej dziś historii. Jak mógł wyglądać Kirk Dalkeith, czwarty z kolei właściciel wyspy? Czy też był rudowłosy jak jego prapradziadek?

Jedno było pewne - Wyspa Szczęścia będzie następnym etapem ich podróży.

## Rozdział 2

Już w kilka dni później Melissa pojęła, że jej wyobrażenie odnośnie wyspy i Kirka Dalkeitha zupełnie nie odpowiada rzeczywistości. Wyspa nie była dzika i niedostępna, a głowę jej właściciela zdobiły nie ognistoczerwone, a kruczoczarne włosy. Widocznie geny jego prababki, która była stąd, wyparły szkockich przodków.

Dla Melissy zagadką było to, w jaki sposób jeden i ten sam człowiek mógł się tak zmienić - z czarującego bosego śpiewaka na plaży w chłodnego hotelarza w nienagannie skrojonym garniturze. I do tego wszystkiego zdawał się nie pamiętać o spotkaniu na plaży.

Potrząsnąwszy głową, wstała od stołu. Nie będzie już tracić czasu na rozmyślanie o tym dziwnym mężczyźnie.

- Czuję się, jak w raju - Melissa westchnęła wzdychając wzrokiem po kwitnących krzewach, porażających swym przepychem.

Nedra przytaknęła. - Bougainville, gwiazdy betlejemskie i hibiskusy; wszystko wygląda tak, jakby czarodziej magiczną różdżką pogłębił kolory i dwukrotnie powiększył.

Melissa westchnęła głęboko. - Boję się, że zaraz się obudzę i ten cudowny sen się skończy...

- Ten sen śnisz na jawie, Melisso. Zamknij oczy na chwilę. A jeśli je znowu otworzysz, ujrzysz to samo, co przedtem: złote słońce, błękitnozielonkawe morze, białą piaszczystą plażę, kolorowe kwiaty i wysokie palmy - Nedra śmiejąc się pociągnęła Melissę za sobą.

Resztę przedpołudnia, a także popołudnie spędziły na słodkim nieróbstwie, aż w końcu nadeszła pora kolacji, wróciły więc do hotelu, aby się wykąpać i przebrać do posiłku.

Po kolacji Melissa postanowiła pójść jeszcze raz na plażę, aby obejrzeć zachód słońca. Nedra wybrała towarzystwo nowych znajomych, którzy zaproponowali partyjkę brydża.

Melissa poszła więc sama. Nieświadomie skręciła w stronę skał, ale później przyszło jej do głowy, że może tam znowu spotkać Kirka Dalkeitha, skierowała się więc w przeciwną stronę. Nie, nie życzyłaby sobie spotkać tego mężczyzny ponownie na plaży.

Niosąc sandały w ręku z dziecinną radością uciekała falom, które sięgały po jej bosc stopy jak weloniaste olbrzymie meduzy.

Niebo zabarwiło się szkarłatem, a morze połyskiwało ciemnym fioletem. Jak na kiczowatej widokówce, pomyślała Melissa siadając na jeszcze ciepłym piasku i obserwując tę grę kolorów. Myślami powędrowała do minionego wieczoru, do Kirka Dalkeitha, tego zagadkowego mężczyzny i jego osobliwej pieśni. Czy to możliwe, żeby jej nie poznał dziś rano? Zatopiona w rozmyślaniach nie usłyszała cichych kroków za sobą, tłumionych przez piasek.

- Nie przestrasz się, mój mały złocisty ptaszku - rozległ się głęboki głos Kirka. Poglądził ją po włosach.

Melissa drgnęła.

- Naprawdę nie chciałem pani przestraszyć, a tylko chwilkę porozmawiać - nie czekając na odpowiedź, zwinnie jak kot usiadł obok niej na piasku.

Zmarszczywszy brwi Melissa odsunęła się trochę i zrobiła taki ruch jakby chciała się podnieść. Serce waliło jej jak młotem.

- Może pan sobie ze mną rozmawiać, ale niech pan zapamięta raz na zawsze, że nie jestem tym pana śmiesznym wyimaginowanym złotym ptaszkiem, ani pana dziewczyną, a już na pewno nie pana kochaną! - lustrowała go chłodnym

wzrokiem. - Czy śledził mnie pan całą drogę, żeby zamienić kilka słów?

- Nie musiałem pani śledzić, ponieważ wiedziałem, że tu panią spotkam.

- Jak to? Skąd mógł pan wiedzieć...?

- Ponieważ przypuszczała pani, że będę w pobliżu skał. Wczoraj uciekła mi pani stamtąd. Dziś chciała pani uniknąć spotkania ze mną i poszła w przeciwnym kierunku. Nietrudno to było odgadnąć!

Melissa roześmiała się mimo woli. - Pewności siebie panu nie brakuje, jak widzę.

Kirk uśmiechnął się. - Moje trzydziestosześcioletnie doświadczenie życiowe pomaga mi dotrzeć w głąb ludzkich dusz - uśmiech ustąpił miejsca poważnemu, prawie bolesnemu wyrazowi. - Tak strasznie długo czekałem na panią. Dlaczego zwlekała pani z przyjazdem na wyspę? Co panią zatrzymywało?

Melissa była zbyt zaskoczona, żeby móc odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Czy stroił sobie z niej żarty? Kątem oka spojrzała na Kirka. Minę miał poważną, ale w jego ciemnych oczach migotały podejrzane iskierki.

- Gdzie ukrywała się pani przede mną przez te wszystkie lata? - pytał niezmiernie dalej skłaniając się ku niej z uśmiechem.

Melissa odsunęła się jeszcze trochę od niego. Zawahała się, ale podjęła grę. - Większość czasu spędziłam w Berkeley na studiowaniu.

- A na jakim uniwersytecie?

- Kalifornijskim - odparła.

- A to ciekawe! Ja też tam studiowałem.

- Był pan w Kalifornii? Jaki fakultet pan studiował? - z ulgą, że rozmowa zwróciła się ku normalniejszym sprawom, Melissa podchwyciła temat.

- Architekturę. A pani?
- Pedagogikę. Moją specjalnością jest wychowanie przedszkolne, z tego zrobiłam dyplom.
- Nie mogę w to uwierzyć. Pani sama jest jeszcze dzieckiem - Kirk musnął opuszkami palców jej brodę i uśmiechnął się. »

Pod wpływem jego dotyku Melissę przebiegły ciarki. Czowała się tak, jakby ją przeszył prąd. Siedziała jak zaczarowana, nie ruszając się nawet wtedy, gdy Kirk przysunął się bliżej, pochylił się nad nią i pocałował w usta. Pocałunek Kirka był delikatny, jak ciepły powiew wiatru. Nigdy przedtem nikt jej nie całował w ten sposób. Melissa poczuła ogarniającą ją falę ciepła.

Kirk sięgnął po jej dłoń zamykając ją w swojej. - Mały, bojaźliwy ptaszek - szepnął. - Słońce już poszło spać, gwiazdy świecą nad naszą wyspą. Pora wracać do domu - wstał, podnosząc również Melissę. Przez ułamek sekundy ciała ich zetknęły się. Melissa wstrzymała oddech. Jej serce biło jak oszalałe. Milcząc wracała u boku Kirka do hotelu. Przed bocznym wejściem Kirk zatrzymał się i spojrzał rozmarzonym wzrokiem na Melissę.

- Dobranoc, moja dziewczyno - rzekł cicho, otworzył drzwi i zniknął, zanim Melissa w pełni pojęła sens jego słów.

Tej nocy Melissa nie mogła spać. Męczyły ją koszmarne sny, z których budziła się zlna potem, nie pamiętając wszakże ich treści. Kręciła się z boku na bok, aż w końcu z radością powitała nadejście świtu.

Nedra jeszcze mocno spała. Melissa wstała cichutko, wzięła prysznic i ubrała się w granatowe szorty i bawełnianą bluzkę w kolorze bzu. Wyszła na zewnątrz nie budząc przyjaciółki.

Czy spotka Kirka w ogrodzie? Rozejrzała się wokoło. Kilka rannych ptaszków jadło już śniadanie, ale Kirka nigdzie



nie było widać. Trochę rozczarowana podeszła do bufetu i wybrała potrawy na śniadanie.

Gdy się odwróciła, wybierając stolik, przy którym chciała usiąść, podszedł do niej wysoki młody człowiek. Melissa rozpoznała w nim pilota, który przytransportował je z Papeete na Wyspę Szczęścia.

- Czy mógłbym się przyłączyć? - zapytał z tak ujmującym uśmiechem, że Melissa natychmiast się zgodziła.

- Nazywam się Barry. Barry Enloe - przedstawił się, gdy zajęli miejsca przy wolnym stoliku. - Zwróciłem na panią uwagę już podczas lotu, ale dotychczas nie udało mi się zawrzeć z panią znajomości. Wczoraj wieczorem poznałem w ogrodzie Nedrę, to chyba pani, siostra? - spojrzał na nią wyczekująco.

Melissa uśmiechnęła się. - Nedra jest moją macochą - wyjaśniła. - Ale najczęściej bierze się nas za siostry.

- Rozumiecie się chyba znakomicie, tak wywnioskowałem z tego, co mówiła wczoraj Nedra. A propos, ona świetnie gra w brydża, co przyznaję bez zawiści. Ta pani piękna młoda macocha jest w grze szczywanym lisem. Przegrałem w niewielu rozdaniach.

- Do jakiego college'u pan chodził?

- W Berkeley, w Kalifornii. Uczyłem się głównie budowy maszyn i innych rzeczy potrzebnych inżynierowi.

- A co sprowadziło pana tutaj?

- Kirk i ja mieszkaliśmy razem i ciągle opowiadał mi o swojej wyspie. Miał masę planów, potem je zarzucał i robił nowe, ale przez cały czas jedno było pewne - kiedyś obejmie w posiadanie Wyspę Szczęścia i wzniesie na niej zamek z bajki. Kiedy zaraz po dyplomie umarł jego ojciec, zostawiając mu większy spadek, postanowił zająć się realizacją swych marzeń. No i zaraził mnie swym entuzjazmem. Dałem się

namówić na to, żeby mu towarzyszyć. - Wzruszył ramionami.  
- No i tak trafiłem tutaj.

- Kirk Dalkeith jest chyba romantykiem, prawda?

- Beznadziejnym, niepoprawnym romantykiem - Barry skinął głową. - W jego wierze w rzeczy mistyczne odzywa się szkockie pochodzenie. Ale nie oznacza to, że pozwoliłby sobie coś narzucić. W interesach jest prawdziwym rysiem, a każdy pieniądz obraca trzy razy, zanim go wyda - to też pewnie cecha odziedziczona po szkockich przodkach - Barry roześmiał się do brody. - Powinna była pani zobaczyć jak mieszkaliśmy, gdy Kirk budował ten swój wymarzony pałac. Nocowaliśmy w małej prymitywnej drewnianej chacie tak, jak tubylcy.

Podniósł się. - Niestety, muszę panią opuścić. Obowiązek mnie wzywa, bo pierwszy lot mam już za kilka minut. Dziękuję za miłe towarzystwo i mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Byłbym niepokojony, gdyby miało być inaczej.

Melissa uśmiechnęła się. - Nasze drogi na pewno się skrzyżują niejednemu raz, na tak małej przestrzeni to wręcz nieuniknione.

- No, to już się cieszę - Barry skinął głową i odszedł, a Melissa naląła sobie drugą filiżankę kawy i przepołowiła owoc mango. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wygląda rozkład dnia Kirka. Na pewno było mnóstwo spraw, których musiał osobiście dopilnować.

Po śniadaniu poszła na mały spacer wzdłuż wybrzeża. Ciemnoskóre dzieci o czarnych włosach bawiły się w piasku. Między nimi klęczał mężczyzna z obnażonym tarsem i formował z wilgotnego piasku wieżę obronną. Patrzyła na schylone plecy, na grę mięśni pod ciemnobrązową skórą. To Kirk wznosił dla dzieci tę nietrwałą budowlę. Bezwiednie podniósł wzrok.

- Hallo! - zawołał i wrócił do swego dzieła nie patrząc już na Melisę.

Czekała chwilę z nadzieją, że wstanie i zostawi dzieci. Odniosła jednak wrażenie, że zupełnie zapomniał o jej obecności, ruszyła więc dalej. Nawet tego nie zauważył.

Kim był Kirk Dalkeith? O czym myślał? Co czuł? Poprzedniego wieczoru wydawało się, że już go trochę poznała, ale dziś znowu wydał jej się tak zagadkowy i obcy, jak w pierwszej minucie ich znajomości. Czy rzeczywiście przedkładał dziecinną zabawę w piasku nad rozmowę z nią? A może zapomniał o wczorajszym wieczorze? Melissa pokręciła głową. Gdyby jakiś mężczyzna w Kalifornii zachował się wobec niej w ten sposób, byłby już u niej przegrany. Dlaczego więc o nim ciągle myślała? Długo łamała sobie głowę nad tym problemem, ale nie znalazła odpowiedzi.

Przy wspólnej kolacji Nedra wystąpiła z wiadomością, która miała siłę rażenia bomby.

- Clive i jego przyjaciele zaprosili mnie na wycieczkę do Hongkongu, Liso. Clive zna tam jedno takie miejsce, gdzie będziemy mogli żyć isticie po królewsku. A kiedy będziemy mieli dość, wyruszymy dalej, może na Bali, a może gdzie indziej, to już będzie zależało wyłącznie od nas. Czy będziesz mi miała za złe, jeśli się do nich przyłączę?

Melissa nie wierzyła własnym uszom. A więc Nedra zrywała ich wspólne projekty i decydowała się wyjechać z ludźmi, których znała raptem od dziesięciu dni? Nie mogła tego zrozumieć, ale w końcu to było jej życie i nie Melissa miała o nim decydować. Znała poza tym swą macochę wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że jeśli Nedra raz sobie wbije coś do głowy, to nie ma sensu jej od tego odwodzić, bo i tak postawi na swoim. Tak było zawsze.

- Będzie mi ciebie brakowało, wiesz dobrze, Nedro - odparła spokojnie.

- Och, ja też będę za tobą tęskniła, Lisso. Ale stopniowo zaczyna mnie już ta wyspa nużyć - i Clive... to jest po prostu fajny facet.

Clive. A więc tu jest pies pogrzebany. Nedra zadurzyła się pewnie w tym wesołym i zawsze skorym do żartów mężczyźnie.

- Życzę wam szczęśliwej podróży - Melissa objęła Nedrę serdecznie.

### Rozdział 3

Powodowana jakimś niewytłumaczalnym niepokojem Melissa wstała następnego ranka bardzo wcześnie. Nie widziała Kirka od przedpołudnia poprzedniego dnia i zdawało jej się, że to cała wieczność upłynęła od ich ostatniego spotkania. Nie mogła zrozumieć samej siebie. Przecież Kirk prawie nie zwrócił na nią uwagi, a jednak na samą myśl o ponownym ujrzeniu go, przebiegały po jej plecach dreszcze.

Dlaczego tak bardzo zajmowała się tym mężczyzną? Musiał mieć coś w sobie. Ale co? Kirk Dalkeith nie był zwykłym facetem. Miał dwie różne i jakby sprzeczne osobowości. Ale żeby nie wiem jak pociągający był mężczyzna, Melissa nie miała zwyczaju z miejsca się zakochiwać.

Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie poświęcił jej tak mało uwagi. Gdyby w czasie studiów Kirk wszedł jej w drogę i zachował się podobnie, prawdopodobnie nie zwracałaby już na niego uwagi, albo dałaby mu wyraźnego kosza. Dlaczego teraz wahała się?

Przedpołudnie przeciągało się w nieskończoność. Melissa skracala sobie czas chodząc po różnych zakątkach wyspy. Ciągle zatrzymywała się podziwiając biel kwiatów ingweru kontrastującą z ciemnym fioletem bougainvilli. Otoczyła ją gęstwina oszałamiających zapachów i barw.

Tego dnia Melissa czuła się bardzo samotnie. Brakowało jej miłego towarzystwa Nedry, coraz boleśniej zdawała sobie z tego sprawę. A kiedy nadszedł wieczór poczuła dręczącą pustkę i zupełną bezradność. Przygnębiona ruszyła w stronę zatoki, gdzie spodziewała się spotkać Kirka. Ale tam go nie było.

Widok czerwonożłocistego słońca tonącego powoli w połyskliwym błękicie morza, nastroił Melissę wyjątkowo smutno. Słońce, czyste niebo, morze i kwiaty straciły nagle

cały swój urok. Myślała o Kirku, jego pieśni i jego cichych, czułych słowach, o świeżym zapachu wiatru i morza i znowu poczuła ten delikatny pocałunek na wargach. Boże, jak bardzo jestem samotna!

Powoli wróciła do hotelu, do wyśnionego pałacu Kirka, jak go zaczęła nazywać od rozmowy z Barrym. W holu zobaczyła go od razu. Był w towarzystwie atrakcyjnej młodej kobiety o długich czarnych włosach sięgających aż do pasa. Miodowa cera, duże ciemne oczy i wysmukła budowa ciała wskazywały na jej polinezyjskie pochodzenie. Suknia drukowana w kwiaty o jaskrawych barwach podkreślała dodatkowo egzotyczny wdzięk jej urody. Piękna nieznajoma nie kryła swych wdzięków, jak stwierdziła Melissa dostrzegłszy głęboki dekolt.

Gdy Kirk pochylił się ku nieznajomej, świeży kwiat wpięty w jej włosy, połaskotał go w policzek. Kirk uśmiechnął się, a Melissa odwróciła wzrok. Szybko opuściła pomieszczenie. Coś ją dławiło w gardle i łzy napłynęły jej do oczu. Kirk nazwał ją swoją dziewczyną i powoli zaczynała mieć nadzieję, że mówił to serio. Jak głupia pensjonarka uwierzyła w romantyczne słowa tego wyspiarskiego Casanovy.

Rozczarowanie walczyło w niej o lepsze z gniewem. Pobiegnęła do pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła się na łóżko. Szlochała, jak małe dziecko, które spotkała krzywda.

Kim była ta piękna nieznajoma u boku Kirka? Jego małym czarnym ptaszkiem? Do diabła z Kirkiem Dalkeithem i jego wszystkimi ptaszkami!

Następnego ranka Melissa poczuła się bardzo rozbita. Ale po długim prysznicu nabrała znowu ochoty do życia. Stała przed lustrem i wyszczotkowała włosy spadające miękkimi falami na ramiona.

Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Jeśli włosy spięte w węzełek upodobały ją do złocistego ptaszka, to już się tak nie będzie czesała. Będzie nosiła włosy rozpuszczone. Zdecydowała się na pastelową bluzkę i wąską zakładaną spódnicę, do tego założyła białe sandały i poszła na taras zjeść śniadanie.

- Hallo, piękna pani, dokąd się pani wybiera? Czy mogę się przyłączyć?

- Dzień dobry, Barry, może pan, oczywiście - Melissa uśmiechnęła się wesoło do Barry'ego.

- Co tak wcześnie na nogach?

- To nie jest wcześnie, tylko normalnie. To wczoraj byłam spóźniona.

- A więc ranny ptaszek? Taki, który zaczyna śpiewać jeszcze ciemną nocą?

- Niechże mi pan oszczędzi słowa „ptaszek”. Chwilowo reaguję na nie zbyt alergicznie. - Chwilkę milczała i zapytała:

- Proszę mi powiedzieć, kim jest ta czarnowłosa, rzucająca się w oczy piękność, którą widziałam wczoraj w holu? Czy zna ją pan?

- Przypuszczam, że mówi pani o Odette. Odette Dufrene. Jest kimś w rodzaju managera tego hotelu. Tak przynajmniej brzmi jej oficjalny tytuł. Ale ja nazywam ją „Królową Wyspy”. Ugania się za Kirkiem.

Melissa najchętniej spytałaby, czy i Kirk ugania się za Odette ale nie zrobiła tego. Obawiała się twierdzącej odpowiedzi.

W tym momencie na tarasie pojawił się Kirk i Melissa postanowiła nie poruszać już tematu Odette.

- Cześć, stary! A więc tu jesteś - Kirk zobaczył Barry'ego.

- Zgłosiło się jeszcze dwóch pasażerów. Myślisz, że zmieszczą się na pokładzie?

- Sądzę, że tak - Barry skinął głową.

- Dzień dobry, Melisso! - Kirk skierował na nią wzrok. - Czy dobrze pani spała?

Melissa zacisnęła wargi. Nie mogła tego zrozumieć. Kirk rozmawia z nią tak, jakby rozmawiał z jakimkolwiek innym gościem hotelowym: Spoglądał na nią uprzejmie, ale bezosobowo. Nie dostrzegła nawet śladu znajomego uśmiechu. Marszcząc czoło przyglądał się uważnie Barry'emu. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się i odszedł.

- Coś takiego! - Barry uniósł brwi. - Nasz Kirk wstał chyba dzisiaj lewą nogą. Wielki mistrz nie jest w najlepszym humorze. - Wstał i skłonił się przed Melissa. - Bardzo mi przykro. Obawiam się, że będę musiał panią opuścić i zatroszczyć się o moich pasażerów. Życzę pani pięknego dnia, Melisso. - Odszedł kilka kroków, ale jeszcze odwrócił się. - Szkoda, że nie mogę zostać z panią, ale jeśli szukałaby pani towarzystwa na wieczór, to jestem do dyspozycji.

- Dziękuję, Barry, to bardzo miła propozycja i niewykluczone, że z niej skorzystam.

- Będę czekał! - pomachał jej ręką na pożegnanie i odszedł. Bezmyślnie spoglądała za nim.

Zachowanie Kirka nie wyjaśniło jej wątpliwości. O co chodziło w tym wszystkim? Nie znalazłszy satysfakcjonującej odpowiedzi, poszła na plażę i położyła się na piasku w cieniu wysokiej palmy. Wzrok jej błędził po błękitnym bezmiarze nieba.

Szkoda, że nie pojechała z Nedrą i całą tą wesołą kompanią do Hongkongu. Z zalem pomyślała o planach snutych wspólnie w Kalifornii. A może powinna po prostu spakować walizki i sama kontynuować tę podróż. W końcu tak samo samotna będzie i gdzie indziej. Może nowe wrażenia zabiłyby w niej to dręczące uczucie dotkliwej pustki.



Melissa usiadła wpatrując się w połyskliwą powierzchnię morza. Tak, będzie dalej podróżować sama, umocniła się w swej decyzji. Ale najpierw odkryje każdy najmniejszy zakamarek tej małej wysepki i nacieszy się wszystkimi jej urokami.

Przyszło jej do głowy, że przecież może zamienić ten podwójny apartament, który zajmowały z Nedrą, na coś mniejszego i tańszego. Po co wydawać pieniądze na zbędny komfort, którego nie potrzebowała. Mały pokój z prysznicem i toaletą wystarczy jej w zupełności, a i tak większość dnia będzie spędzała przecież poza nim.

Wróciwszy do hotelu, udała się od razu do recepcji, żeby przedstawić swoją prośbę. Za kontuarem stała ta młoda kobieta, Odette, tak nazwał ją Barry. Głęboko wycięta, obcisła suknia z wiśniowego trykotu podkreślała jej kobiece wypukłości w sposób, który wydał się Melissie zbyt nachalny.

Pod badawczym wzrokiem ciemnych oczu Melissa poczuła się nieswojo.

- Czym mogę służyć, madame? - Odette mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. Uśmiechała się, ale w jej głosie pobrzmiwała nuta protekcjonalności, co nie uszło uwadze Melissy.

Zaczęła wyniszczać sprawę, z którą przyszła i nagle dostrzegła Kirka.

- Witaj, Melisso - zatrzymał się patrząc pytająco na Odette.

- Panna Arnell chciałaby przeprowadzić się do mniejszego pokoju - Odette obdarzyła Kirka uwodzicielskim uśmiechem.

- Czy mamy pokój odpowiadający życzeniom panny Arnell? - zapytał.

- Dziś rano zwolnił się pokój numer dwadzieścia siedem na drugim piętrze. Rezerwacji nie ma. Sądzę, że pokojówki

już go uporządkowały. Pokażę panie Arnell ten pokój - zaproponowała.

- Nie musi się pani trudzić, Odette. Sam zaprowadzę pannę Arnell

- Kirk skinął głową Melissie - Proszę!

Zaprowadził Melisę do pokoju na drugim piętrze, wpuścił ją i natychmiast zamknął za nią drzwi.

Wolno podszedł do niej. - Gdzie się podział twój czepeczek, mały ptaszku? - musnął palcami jej rozpuszczone włosy.

Melissa uniosła głowę patrząc na niego w milczeniu. Zupełnie bezwolna pozwoliła się objąć i pocałować. - Melissa, moja dziewczyna

- szepnął przytulając ją mocno do siebie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Spojrzenia ich spotkały się i Melissa ujrzała pożądanie w czarnych błyszczących oczach Kirka.

- Jak ci się podoba ten pokój? - spytał cicho. - Ale możesz równie dobrze zostać w starym, jak długo będziesz chciała.

O co on pyta? Melissa z trudem wracała do rzeczywistości. Serce jej biło szybko, oddech miała nierówny. Na ustach ciągle jeszcze czuła pocałunek Kirka. Och, gdyby mogła w jego ramionach znaleźć tę bezpieczną przystań, której tak długo szukała, na próżno. Opuściła ramiona.

- Ten pokój... on mi się podoba. Tak! - odrzekła jękając się.

- Wprowadzę się tu.

- Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa. Przyślę kogoś do przeniesienia bagażu.

- Dziękuję - Melissa skinęła głową.

Kirk ujął jeszcze raz jej dłoń i uściśnął, potem oderwał się od Melissy i otworzył drzwi. Melissa wyszła za nim na

korytarz i milcząc wrócili do recepcji. Odette spojrzała na nią ze źle ukrywaną złością.

- Czy odpowiada pani ten pokój, panno Arnell? - spytała zimno.

- Dziękuję, zaraz się przeprowadzę - odrzekła Melissa z tym samym chłodem. Pocałunek Kirka dodał jej pewności siebie.

- Gdyby miała pani jeszcze jakieś życzenia, proszę dać znać pannie Dufrene. Zajmie się ich realizacją - Kirk pożegnał się z uśmiechem, nie zdradzającym jego uczuć.

- Pomyśl o dzisiejszym wieczorze! - zawołała za nim Odette rzucając Melissie triumfujące spojrzenie.

Uśmiech Melissy znikł. Co miały oznaczać słowa Odette? Czy Kirk się z nią umówił? Jej dobry nastrój prysł. Wróciła do nowego pokoju, aby mu się przyjrzeć jeszcze raz na spokojnie. Poprzednio widziała tylko Kirka i nawet najbrzydszy pokój by jej się spodobał, gdyby Kirk trzymał ją w swych ramionach.

## Rozdział 4

Melissa nie widziała Kirka, od kiedy zmieniła pokój. Ale mimo to była w dobrym humorze, gdyż wczoraj spotkała Odette w hotelu, samą. A więc Kirk nie był z nią umówiony, albo nie przyszedł na spotkanie. Wszystko jedno. Melissa czuła się w każdym razie fantastycznie.

Przy kolacji miała nadzieję, że Kirk pojawi się w jadalni. Na próżno. Ale nawet to małe rozczarowanie nie popsuło jej humoru. Zobaczy go na pewno następnego dnia. Z tą myślą zaczęła się rozbierać.

Nagle usłyszała ciche stukanie do drzwi. Zapięła z powrotem guziki bluzki. - Tak?

- Czy mogę wejść na chwilę? - rozległ się cichy głos Kirka. Melissa podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Kirk wszedł do pokoju, ale nie zamknął za sobą drzwi. - Dobry wieczór, nie będę długo, chciałem tylko zapytać, czy pójdziesz jutro ze mną na szczyty skał, żeby stamtąd zobaczyć wschód słońca? A później chciałbym ci coś pokazać.

Melissa zawahała się. Liczyła się ze wszystkim, ale nie z zaproszeniem do oglądania wschodu słońca. - O której trzeba wyruszyć?

- spytała jednak.

- A więc wybierzesz się ze mną? - uśmiechnął się. - Myślisz, że dasz radę wstać o piątej?

- Och, na pewno, jestem przyzwyczajona do ранego wstawania.

- Melissa roześmiała się. - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, jak słońce wynurza się z morza.

- Będę czekał na ciebie w ogrodzie - Kirk wziął ją w ramiona. Melissa przytuliła się do niego z lekkim westchnieniem. A gdy jego wargi spoczęły na jej ustach, odczuła tak gorące, namiętne pożądanie, jakiego nie zaznała nigdy dotąd.

- Kirk - szepnęła przytulając się mocniej. - Kirk, ja...

Ale Kirk odsunął się od niej. - Muszę już iść, Melisso. Spotkamy się jutro. Dobranoc, mały ptaszku!

Odwrócił się i odszedł zanim Melissa zdążyła coś powiedzieć. Cóż za dziwny, zagadkowy człowiek. Pod Melissa zadrżały kolana. Kirk obudził w niej taką burzę uczuć, jakiej nie udało się rozpętać żadnemu mężczyźnie przed nim. Czy zauważył, czy wyczuł, że bliska była oddania mu się!? Że jej opór topniał w jego ramionach, jak pierwszy śnieg, który spadł jesienią na ziemię ciepłą jeszcze po lecie? Melissa odetchnęła głęboko. Dobrze, że Kirk odszedł w porę.

Następnego ranka Kirk krążył niespokojnie po ogrodzie, jak zwierzę zamknięte w klatce. Melissa po cichu podeszła do niego. - Już jestem - rzekła.

Kirk, który nie zauważył, jak się do niego zbliżała, stanął jak wryty.

- Czy długo już tu jesteś?

Melissa potrząsnęła przecząco głową. - Może kilka sekund. Dzień dobry, Kirk.

- Dzień dobry, mój mały złocisty ptaszku. Wobec tego idziemy

- wziął ją za rękę.

W świetle poranka morze wyglądało jak leniwie poruszająca się istota. Nad morzem leżała jeszcze mgła. Melissa poczuła wilgotny chłód. Zadrżała. Plaża wydawała jej się obca i zmieniona, biel piasku zimna i blada, a morze ciemne i nieprzyjazne.

Gdy dotarli do skał, Kirk poprowadził Melissę ukrytą drogą. W milczeniu wspinali się wąską ścieżką pod górę odsuwając zatrzymujące ich pędy i przełaząc przez głązy zagradzające drogę. Dotarli do miejsca, w którym rozpoczynał się płaskowyż. Daleko na wschodzie horyzont już się zaróżowił.

Kirk zatrzymał się. - Stąd jest przepiękny widok - objął Melissę ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie. - Chętnie tu przychodzę i pragnęłam, żebyś poznała to miejsce.

Melissa wstrzymała oddech. Ciche słowa Kirka, jego podniecająca bliskość i widok złotej tarczy słonecznej wynurzającej się z ciemnego morza wprawiły Melissę w stan zupełnego oszołomienia. Nagle poczuła się pozbawiona wszelkich przyziemnych kłopotów.

Oparła głowę na ramieniu Kirka patrząc w niemym zachwycie na nieopisanie piękne widowisko natury, które powtarzało się codziennie, ale za każdym razem było inne. Jak wielki kwiat rozwijający płatki na powitanie nowego dnia, słońce wspinało się po nieboskłonie wysyłając swe ciepłe promienie na ziemię. Morze rozbłysło złotem. Ciasno objęci trwali w niemym podziwieniu. W końcu Kirk przerwał milczenie.

- A teraz chciałbym ci coś pokazać. Chodź ze mną. To jeszcze trochę dalej!

Przedzierając się przez gęste krzewy dotarli do dużej polany. Dokładnie pośrodku rosło potężne drzewo, którego konary tworzyły rozłożystą koronę.

- Cóż za wspaniałe drzewo! - zawołała Melissa z podziwem.

- Podejdź jeszcze bliżej, o tutaj - Kirk wziął ją za rękę i poprowadził ku grubemu pniu wznoszącemu się jak kolumna.

- To właśnie ten figowiec, w którego korze mój pradziadek wyrzezał swoje oświadczenie własności. Jeszcze można rozróżnić litery, choć w kilku miejscach kora już zarosła.

Melissa pochyliła się i przeczytała: „Ta wyspa należy do Kirka Dalkeitha i każdego jego potomka, który godnie będzie nosił to nazwisko”. Podpisano: „Kirk Dalkeith Pierwszy - 1860”.

- A więc historia, którą opowiedział mi ten staruszek w Papeete, jest prawdziwa! O twoim dziadku i polinezyjskiej księżniczce słuchałam z wypiekami na twarzy. I teraz okazuje się, że to nie bajka, tylko najprawdziwsza prawda! - bezmierne zdumienie odbiło się w jej oczach.

Kirk uśmiechnął się. - Chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, to wszystko wydarzyło się naprawdę. Stara legenda jest prawdą.

Melissa wyciągnęła dłoń i pogładziła napis na pniu. - A więc na mocy tego żywego dokumentu zostałeś panem wyspy?

- Miałem trochę kłopotów z Francuzami, którzy też rościli pretensje do tego skrawka ziemi, ale W końcu odniosłem zwycięstwo nad biurokracją.

Melissa odwróciła się do niego. - Można ci pozazdrościć tego raj!

- Czasami nachodzą mnie wątpliwości. Mam wrażenie, że żyję pod szklanym kloszem, który oddziela mnie i moją wyspę od reszty świata. Ale nie będę się skarżał na mój los. Co to, to nie! - Kirk uśmiechnął się. - Chodźmy teraz na najwyższe wzniesienie rafy i spójrzmy na morze z góry. Zdziwisz się, jak inaczej wyglądają fale morskie oglądane z wysokości.

Stanęli na samym brzegu skały obmywanej od dołu falami. Kirk odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Łagodny szum fal i wiatru stopił się w jedną uwodzicielską melodię. I był Kirk.

Spojrzenie jego czarnych oczu zdawało się pieścić twarz i ciało Melissy. Przeszył ją dreszcz. Zbudziły się w niej nieoczekiwane zmysłowe i namiętne uczucia, które ją nieco przestraszyły. Melissa poczuła, że uginają się pod nią kolana. Przełknęła głośno ślinę.

- Usiądźmy - Kirk pociągnął Melissę na trawę, tworzącą na ziemi miękki, zielony dywan.

Siedzieli ramię przy ramieniu milcząc i przypatrując się ciągle zmieniającemu się morzu.

- Podoba ci się tutaj? - spytał Kirk. Melissa uśmiechnęła się. - Bardzo!

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. - A to jak ci się podoba?

Melissa oparła się o jego ramię. - To mi się także podoba. Osunęli się na miękką trawę, na której leżeli, jak na poduszkach. Przyciągnąwszy Melissę do siebie, Kirk pocałował ją ciepłymi wargami najpierw w szyję, potem w brodę, aż w końcu znalazł drogę do jej ust. Zamknęła oczy i odwzajemniła jego gorący pocałunek.

Czy jej się to wszystko śniło? Melissa zupełnie się zatraciła. - Kirk - szepnęła i dotknęła palcami gęstych czarnych włosów.

- Mój mały złocisty ptaszku - prawa dłoń Kirka ześliznęła się ze smukłej szyi Melissy i powędrowała niżej, do jędrnych piersi. Nakrył dłonią jedną z tych rozkosznych wypukłości i zaczął kciukiem masować brodawkę, która nabrzmiała i wyprężyła się.

Melissa nie wiedziała, co się z nią dzieje. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, oddychała pospiesznie i nieregularnie. Było jej jednocześnie zimno i gorąco, a kiedy Kirk wsunął dłoń pod jej bluzkę, wydawało jej się, że dotyk jego palców parzy jej nagą skórę.

- Kirk, ja... - chciała mu powiedzieć, co odczuwa, jak bardzo podoba jej się to, co z nią robił. Ale ostry głos nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Mon Dieu! Cóż za poufałe tete - a - tete! - nie można było nie poznać tego francuskiego akcentu. Melissa i Kirk odsunęli się od siebie.

- Wiedziałam, że tu go mogę znaleźć! - zwrócona do Melissy Odette kontynuowała tym samym rozzłoszczonym



głosem. - Ten kobieciarz każdej ładniejszej dziewczynie opowiada swoje romantyczne historie i każda daje się na nie złapać. Każda przychodzi z nim tutaj w to miejsce, a potem daje się uwieść! - roześmiała się szyderczo. - A któż by się nie oparł księciu z bajki? Może mi pani wierzyć, moja droga, to wszystko, o czym mówię, wiem z własnego doświadczenia - zmierzyła Kirka zimnym, pełnym triumfu spojrzeniem.

Twarz Kirka stała się ciemnoczerwona. Puścił Melissę i wyprostował się. - Powinienem cię udusić za twoje kłamstwa, Odette. Że też ty się nie wstydzisz!? - podniósł się i podszedł do niej.

Odette odwzajemniła się złośliwym uśmiechem. - Moje kłamstwa, jak to nazywasz, są jednak wystarczająco skuteczne, aby skończyć to przedstawienie - zauważyła.

- Po co tu przyszłaś? - Kirk zmienił temat.

- Aby cię powiadomić, że Barry nie czuje się dobrze i nie będzie dzisiaj latał. Musisz go zastąpić. Pasażerowie już czekają!

- Będą musieli się wstrzymać, aż się pilotowi polepszy.

- Barry prosi, żebyś poleciał za niego. Jest bardzo chory. Ja sprowadzę bezpiecznie pannę Arnell na dół.

- Dziękuję, ale znajdę drogę i bez pani pomocy, panno Dufrene! - Melissa postanowiła udawać opanowaną. Ale daleko jej było do opanowania. Gdzieś, w głębi duszy, zrodziły się wątpliwości. A może Odette powiedziała prawdę? Może Melissa nie była pierwszą, którą tu przyprowadził?

Kirk spojrzał na Melissę. - Wybacz mi, Melisso, ale to naprawdę pilna sprawa. Zobaczymy się później. Odwrócił się i zbiegł w dół.

- Już ja do tego nie dopuszczę! - syknęła wściekłym szeptem Odette.

Co za tragiczny koniec tego obiecującego poranka, pomyślała Melissa zasmucona. Jeszcze czuła pocałunki Kirka

na swych wargach, dotyk jego dłoni na swej skórze. Nie zapomni już nigdy jego czułego spojrzenia...

A jednak jego słowa były kłamstwem, czułość obłudą, a pieśczoć rutynową grą, w której nieświadomie odegrała główną rolę. Jak mogła dać się tak oszukać! Dała się nabrać, jak pierwsza lepsza naiwna, a przecież zażyłość między Kirkiem i Odette była bardzo wyraźna. Ale Melissa przymykała na nią oczy, o niczym nie chciała wiedzieć. Zalana łzami dotarła do hotelu i ze szlochem padła na łóżko w swoim pokoju. Czuła rozczarowanie, rozpacz, a oprócz tego gniew na Odette, która ją tak upokorzyła.

Powoli uspokajała się. Zapadła w krótką drzemkę. Kiedy ocknęła się po upływie pół godziny, poczuła, że jest głodna.

Wzięła prysznic, założyła lekką sukienkę i poszła do ogrodu, gdzie zamówiła małą przekąskę. Ale potrawy, choć apetycznie podane, nie smakowały jej i po kilku kęsach odsunęła talerz.

Postanowiła pójść na plażę. Całkiem nieświadomie znalazła się w miejscu, z którego razem z Kirkiem oglądała zachód słońca wtedy, drugiego dnia jej pobytu na wyspie. Wyciągnęła się na ciepłym piasku i zapatrzyła w niebo. Jakże bliski był jej Kirk tego wieczoru. A teraz? Dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

- Nareszcie panią znalazłem - pogodny głos Barry'ego wyrwał ją z zamyślenia.

Ukradkiem otarła łzy. - Hallo! - usiadła. - Nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie się pani ukrywa. Już się bałem, że pochłonęła panią kipiela morską.

- Wcale się nie ukrywałam - Melissie udało się wreszcie uśmiechnąć. - Byłam w swoim pokoju. Chciałam trochę odpocząć. Ale widzę, że i panu jest już lepiej, bo w przeciwnym razie nie byłoby pana tutaj, na plaży.

- Och, czuję się wręcz wspaniale. A jak miałbym się czuć w tak miłym towarzystwie?

- Ale dziś rano było z panem źle.

- Tak? - Barry uniósł brwi ze zdziwienia.

- Czy to znaczy, że cieszy się pan jak najlepszym zdrowiem i w ogóle pan nie zachorował?

- Właśnie tak.

- To dlaczego wysłał pan Odette do Kirka z prośbą, żeby zastąpić pana w samolocie? - zapytała.

- Ja? Nigdzie Odette nie wysyłałem.

- Ale... ona powiedziała, że pan jest chory, bardzo poważnie chory. Barry wybuchnął głośnym śmiechem. - Co też jej przyszło do głowy? Odette wie, że ja nigdy nie choruję. Mam odporność wołu. Czy rzeczywiście twierdziła, że jestem zbyt chory, żeby móc polecieć?

- Aż nadto wyraźnie - odparła Melissa.

- Szlag mnie trafi! Chciałbym wiedzieć, co ją napadło? - pokręcił głową ze zdumienia.

- A Kirk pognał, żeby pana zastąpić - powiedziała Melissa cicho i bardziej do siebie niż do Barry'ego.

- No myślę! Kirk jest prawdziwym przyjacielem i można na nim polegać. Ale wcale go nie widziałem. Prawdopodobnie byłem już w powietrzu, gdy przybiegł na lotnisko. Ależ ta Odette używa tricków! Barry przechylił głowę na bok i spojrzał uważnie na Melissę. - Chyba wie pani, o co chodzi.

Melissie odjęło mowę. A więc Odette ich oszukała. Zarówno ona, jak i Kirk, uwierzyli jej. Co za podłość! Ale to, czy Odette kłamała czy nie, w gruncie rzeczy nie zmieniało niczego. Osiągnęła to, co chciała. Kirk nie wątpił w jej prawdomówność, a czar tamtej chwili został bezpowrotnie zniszczony.

- Chciałbym panią o coś zapytać, Melisso - głos Barry'ego przywrócił ją do rzeczywistości.

- Tak?

- Jutro będziemy świętować rocznicę zburzenia Bastylii. Całe Papeete będzie się bawić na wielkim festynie. Pomyślałem... Nie miałyby pani ochoty polecieć tam i rzucić się ze mną w wir rozrywek? - spojrzał na nią wyczekująco.

- Czy mam chęć? Ależ, oczywiście, chętnie się z panem wybiorę, Barry. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał.

- Myślę o pani częściej, niż może pani przypuszczać! - Barry spojrział na zegarek. Ależ ten czas leci. Jeśli chcemy zdążyć na obiad, musimy się pospieszyć.

- Spieszmy się więc! - Melissa schwyciła podaną jej dłoń i wstała.

Do hotelu wracali trzymając się za ręce, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

- Mam dziś szczęście - Barry zerknął na Melissę i uśmiechnął się. Melissa odpowiedziała także uśmiechem. Cieszyła ją przyjazna sympatia Barry'ego, która co prawda nie pozwalała zapomnieć o przeżytych dzisiaj rozczarowaniu, ale czyniła je jednak trochę znośniejszym.

- Czy zechce mi pani towarzyszyć przy posiłku?

- Chętnie. Chciałabym tylko przedtem wziąć prysznic. To nie będzie długo trwało.

- Poczekam.

Melissa ze śmiechem poszła do pokoju, a w pół godziny później otwierał już drzwi jadalni. Barry, w granatowym blezerze i białych spodniach, zobaczył ją natychmiast i wyszedł na spotkanie.

- Gratuluję, Melisso. W rekordowym czasie zmieniła się pani w najbardziej uroczą księżniczkę z bajki, jaką kiedykolwiek zamieszkiwała mury tego pałacu! - z galanterią skłonił się przed nią.

- Dziękuję, Barry - ujęła go pod ramię i pozwoliła się zaprowadzić do stolika. Wiedziała doskonale, że fiołkowa

suknia, którą miała na sobie, nieźle kontrastuje z jej lekko wijącymi się, jedwabistymi włosami, połyskującymi złotem przy każdym ruchu głowy. Ukradkiem rozejrzała się, czy nie ma tu Kirka. Nie mogła zapomnieć o słowach Odette. Czy on rzeczywiście uganiał się za każdą ładną dziewczyną, czy też było to bezcelne kłamstwo takie, jak zmyślona choroba Barry'ego?

- Melisso, niech się pani obudzi i powróci do rzeczywistości. Ma pani przy sobie żarliwego wielbiciela, proszę o tym nie zapominać.

Melissa uśmiechnęła się. - Pan jest dla mnie taki miły, Barry. Proszę mi wybaczyć, jeśli nie zachowuję się tak, jak pan może oczekiwał.

Barry uściśnął w milczeniu jej dłoń. - Już dobrze, Melisso, rozumiem przecież. Zajęli miejsca przy stoliku i natychmiast podbiegła do nich młoda dziewczyna z półmiskiem pełnym dojrzałych owoców.

- Jakie plany ma pani na dzisiejszy wieczór? - spytał Barry. Melissa spojrzała na niego z rozbawieniem. - Nie zastanawiałam się nad tym, ale jeśli pewien miły młody mężczyzna zaproponuje mi coś... to może...

- Czy to obietnica?

- Ślepo panu ufam.

Barry zagwizdał cicho. - Muszę wykorzystać tę okazję. Kto wie, kiedy mi się trafi następna.

- Niech pan jeszcze nie napina cięciwy. Ostrzegam pana! - śmiejąc się Melissa oparła się wygodnie. Towarzystwo Barry'ego działało jak balsam na jej stargane nerwy. Bardzo go polubiła, był sympatyczny, szarmancki i bezpośredni i czuła się dobrze w jego towarzystwie.

- Będę uważał. Ale teraz zajmijmy się może jedzeniem? Czy już coś pani wybrała? Dzisiejszy jadłospis wygląda zachęcająco - przeczytał spis potraw. - Zamawiamy?

- Tak, tak, jestem już głodna.

Niedługo potem przyniesiono im przepyszne egzotyczne dania. Melissa pochłonęła z wielkim apetytem wszystkie przysmaki, które Barry nakładał jej na talerz.

Cały czas prowadzili ożywioną rozmowę i stopniowo zaraziła się od Barry'ego dobrym humorem.

Po posiłku wybrali się jeszcze na mały spacer plażą, aż w końcu Melissa stwierdziła, że pora już na spoczynek. Chciała być wypoczęta w dniu pełnym atrakcji.

Barry odprowadził ją aż do drzwi pokoju. - Mam zwyczaj całować na pożegnanie damy, z którymi spędziłem wieczór - uśmiechnął się filuternie. - Żadna nie żałowała buziaka.

- W takiej sytuacji nie mogę chyba powiedzieć „nie”, prawda?

- Nie ma pani najmniejszej szansy. - Barry schylił się i pocałował ją w policzek. - Jutro rano, po ósmej. Dobranoc, Melisso.

Melissa przytaknęła. - Tak, będę punktualnie. Dobranoc, Barry. I... dziękuję bardzo...

## Rozdział 5

Gdy Melissa podeszła do samolotu, w środku siedzieli już pasażerowie.

- Dzień dobry, panno Arnell! - Barry powitał ją z zachowaniem wszelkich form i pomógł jej wejść do maszyny.

- Wygląda pani wspaniale - dodał cicho mierząc ją zachwyconym wzrokiem.

- Dziękuję, Barry. Ten komplement mogę odwrócić. Można się z panem pokazać! - obejrzała sobie jego jasnobezowe spodnie o prostym kroju i lekki blezer. W takim ubraniu wyglądał atrakcyjniej, niż zazwyczaj - w dżinsach i podkoszulku. - Cieszę się na ten dzień.

Barry promieniał. Wskazał jej miejsce, a później wy dostał się jeszcze na zewnątrz, żeby przygotować wszystko do startu.

- Pomyślałem sobie, że dziś polecę z tobą! - rozległ się nagle znajomy głęboki głos. Melissa wstrzymała oddech. Kirk!

- Ale widziałeś to już wielokrotnie, powinieneś chyba mieć już dosyć.

- Koniecznie chcę wziąć udział w festynie.

- A kto zostanie tutaj?

- Odette da sobie świetnie radę sama!

- No, dobrze, jeśli chcesz... Masz szczęście, jeszcze jest jedno wolne miejsce.

Na widok Kirka serce Melissy забиło mocniej. - Hallo, mały złocisty ptaszku. Wyglądasz uroczo. Dzień dobry!

- usiadł z uśmiechem na wolnym fotelu bezpośrednio za Melissa.

- Powiedziałem „dzień dobry“! - powtórzył nagle blisko jej ucha.

Melissa nie odpowiedziała. Ciepły oddech Kirka muskał jej kark i ciarki przebiegły jej po plecach. Siedziała sztywno wyprostowana bojąc się poruszyć. Co za niewytłumaczalną

władzę miał nad nią ten człowiek? Czy kiedyś zrozumie, dlaczego ją tak pociągał? Dlaczego tak ucieszyła się z jego towarzystwa, choć po wczorajszym incydencie miała święte prawo być wściekła na niego.

W końcu nie zadał sobie nawet najmniejszego trudu, żeby wyjaśnić kłamstwo Odette.

Barry zaryglował drzwi i uruchomił silnik. - Proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. Startujemy za kilka sekund.

Maszyna ruszyła do przodu, przyspieszyła i oderwała się od ziemi. Melissa wyjrzała przez okno. Małe białe chmurki żeglowały po czystym błękitnie nieba, w dole zaś leżało morze, także błękitne, choć miejscami zmieniające barwę na zieloną, w zależności od głębokości. Ale Melissie nie w głowie były zachwyty nad krajobrazem. Z całych sił starała się opanować zdenerwowanie.

Po krótkim locie Barry wylądował na lotnisku mieszczącym się na skraju Papeete. Autobus zawiózł pasażerów do hotelu Maeva Beach.

- Przepraszam jeszcze na chwilę, Melisso. Muszę dowiedzieć się w recepcji, czy ktoś zarezerwował lot na dzisiejszy wieczór. Jeśli nie, będę miał dla pani niespodziankę.

- Uwielbiam niespodzianki - Melissa uśmiechnęła się do Barry'ego. Miała cichą nadzieję, że ta niespodzianka obejmie także Kirka.

Barry nie dał na siebie długo czekać. - Wszystko w porządku - mrugnął do niej uwodzicielsko.

- Niech mnie pan nie torturuje. Co to za niespodzianka, o której pan wspomniał?

- Cierpliwości, piękna pani. Wszystko w swoim czasie. Najpierw obejrzymy sobie paradę. A potem zobaczymy. Kirk? Czy już jesteś gotów?

- Już idę - Kirk, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon dołączył do nich i we trójkę ruszyli w kierunku



centrum. Bardzo szybko dotarły do ich uszu dźwięki orkiestry dętej i ujrzeli żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej, którzy w wyjściowych mundurach maszerowali ulicą. Ciemnoskórzy mężczyźni i kobiety w bajecznie kolorowych odświętnych strojach, przystrojeni wieńcami z kwiatów, ciągnęli za nimi.

- Taki festyn może się ciągnąć i przez trzy tygodnie. Tahitańczycy bardzo lubią się bawić. Korzystają z każdej okazji do tańca i śpiewu, i często tracą przy tym głowę! - Barry roześmiał się dobroduszenie.

- Nas jest znacznie trudniej rozweselić.

- Ale pana dobry humor działa nieprawdopodobnie zaraźliwie - Melissa wzięła Barry'ego pod ramię, zerkając przy tym ukradkiem na Kirka. Na pozór obojętnie przyglądał się barwnemu pochodowi, a może tylko tak udawał? Z twarzy nie można było niczego wyczytać.

- Jeśli chodzi o moje plany... - Barry zrobił znaczącą pauzę.

- Oj, Barry, niech pan nas już dłużej nie męczy. To nie fair - zaczęła się żalić Melissa.

- Chcę spróbować wypożyczyć auto, którym moglibyśmy jeździć z miejsca na miejsce i oglądać zawody i pokazy tańców, które dziś odbywają się wszędzie - z tymi słowami zniknął w tłumie pozostawiając Kirka i Melissę samych.

Kirk spoglądał na nią w milczeniu. W tych momentach, kiedy ich spojrzenia spotykały się, Melissa nie słyszała ani nie widziała niczego z tego, co się działo na ulicach.

Powrót Barry'ego w podniszczonym aucie, naznaczonym licznymi rysami i wgłębieniami, przypomniał im o jego istnieniu.

- Proszę wsiadać, drodzy państwo. - Barry wyskoczył z samochodu, przebiegł na drugą stronę i otworzył Melissie

przednie drzwi, podczas gdy Kirk sadowił się na tylnym siedzeniu.

- Okay, możemy ruszać. - Barry sterował pojazdem pewnie, jak przystało na pilota, przez wszystkie zakręty i przeszkody. Jeździli od jednej imprezy do drugiej, aż nadeszła pora obiadu. Zjedli go w małej kafejce na plaży.

- No, a teraz zapowiadana niespodzianka! Melissa podniosła głowę. - Bardzo jestem ciekawa!

- Mamy dwie możliwości spędzenia reszty dnia. Po pierwsze

- wieczorem odbędzie się wielki bal, na którym możemy pisać aż do świtu i szampańsko się bawić...

- To brzmi zachęcająco! - Melissa wyobraziła sobie, jak tańczy z Kirkiem, jak wirują w takt muzyki. Czowała już jego rękę obejmującą ją w talii.

- Po drugie zaś, możemy polecieć na Moorea, najpiękniejszą wyspę na południowym Pacyfiku, obejrzeć tam zachód słońca, a na koniec przyłączyć się do tańców tubylców.

Melissa wahała się. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Kirk wolałby tę drugą możliwość. - Polećmy na Moorea! - zdecydowała.

- A ty, Kirk?

Kirk, cały dzień bardzo poważny i lakoniczny w wypowiedziach, uśmiechnął się. - Życzenie damy jest dla mnie rozkazem, stary.

Melissa poczuła jego wzrok na sobie, ale nie odwzajemniła spojrzenia.

- No to nie traćmy czasu! - Barry chciał już ruszać. Pojechali prosto na lotnisko, nie zatrzymując się już po drodze.

Znaleźli miejsca w maszynie już gotowej do lotu i pół godziny później kołysali się nad morzem.

Lot trwał tylko dziesięć minut. Barry wypożyczył i tutaj auto, którym przejechali wyspę wzdłuż i wszerz, aż wreszcie zatrzymali się u stóp góry Mouraroa.

- Te poprzeryznane rozpadlinami góry widziałem już w książkach i prospektach reklamowych - zauważyła Melissa. - Ale nigdy nie pomyślałam, że są tak strome. Jak wysokie są te szczyty?

- Ten przed nami, który przypomina złamany ząb trzonowy, ma osiemset metrów. Otoczony jest atolem koralowym, który chroni płytkie zatoki i białe piaszczyste plaże tej wyspy przed kapryсами pogody. Moorea jest ziemskim rajem, najczarowniejszym zakątkiem na świecie, jeśli pominąć Wyspę Szczęścia - Kirk roześmiał się. Wydawało się, że swój zły humor zostawił w Papeete.

- Chodźmy teraz do hotelu Moorea Lagoon i zasięgnijmy języka, jakie atrakcje przewidują dziś dla gości - rzekł Barry.

W pół godziny byli w hotelu. Gdy zaparkowali i Barry otworzył drzwi, podbiegł do nich młody służbista Tahitańczyk.

- Hallo, Clark! - powitał go Barry uprzejmie. - Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak wygląda program na dzisiejszy wieczór. Czy odbędzie się festyn i czy można będzie potańczyć?

- Serdecznie witamy, panie Enloe - młodzieniec rozpromienił się. - Tak, dziś bawimy się i tańczymy. I będziemy pić poncz rumowy, jak tylko rozpalimy ahimę, nasz piec ziemny.

- To brzmi bardzo zachęcająco. Dziękuję za informację, Clark. Zobaczymy się później.

Słońce zniżało się już nad horyzontem. Postanowili szybko wdrapać się na miejsce, z którego, jak utrzymywał Kirk, będą mieli najpiękniejszy widok na zachodzące słońce. Wędrowali w grupie innych ludzi, mających widocznie ten

sam cel, ścieżką pod palmami na wzgórze o kształcie nosa, wcinające się w morze.

- Żaden zachód słońca nie jest taki sam, jak poprzedni. Nie ma znaczenia, ile się już tych zachodów widziało, każdy jest jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny - Barry spoglądał zamyślony w dal.

- Szczęśliwa jestem, że mogę tu stać dziś wieczorem i wspólnie oglądać to wspaniałe przedstawienie natury. Dziękuję, że pan mnie zaprosił, Barry! - Melissie wydało się, że Kirk zmarszczył niechętnie brwi.

Gdy jednak spojrzała na niego, uśmiechnął się szeroko. - Przyłączam się do zdania mojej przedmówczyni - rzekł zwrócony do Barry'ego nie spuszczać jednak wzroku z Melissy.

Po powrocie do hotelu zostali przez Clarka udekorowani wieńcami z kwiatów hibiskusa. Następnie zaprowadził ich do ogrodu, gdzie już wszyscy goście zebrali się wokół ahimy. Śliczne dziewczyny w kolorowych, długich spódnicach, z kolorowymi kwiatami wpiętymi w czarne włosy, roznosiły na tacach szklaneczki z ponczem. Goście częstowali się rumem, kosztowali przyrumienionej na ruszcie wieprzowiny i pieczonych bananów.

Po posiłku pojawił się dyrektor hotelu ze swą atrakcyjną małżonką, aby powitać gości i zapowiedzieć dalsze atrakcje wieczoru.

- Chodźmy, Melisso. Tych dwoje to moi starzy przyjaciele. Chcę ich pani przedstawić! - Kirk ujął Melisę pod ramię.

Po krótkiej rozmowie z dyrektorem i jego żoną zajęli miejsca przy stoliku blisko parkietu.

Nagle rozległ się dźwięk uderzanych o siebie pałek bambusowych. Ożywione rozmowy umilkły natychmiast, a

wszystkie oczy skierowały się na okrągły parkiet oświetlony pochodniami.

Pojawiła się na nim gromadka smukłych dziewcząt w spódnicach opuszczonych nisko na biodrach, przystrojonych w kolorowe wieńce z kwiatów wokół szyi i nadgarstków. Zaczęły swój ekstatyczny taniec w rytm głucho dudniących bębnow i grzechotek. Muzyka huczała coraz głośniejsze i głośniejsze, a tancerki wirowały jak w upojeniu. Niestrudzenie i bez wyraźnych oznak zmęczenia poruszały się zwinnie w takt muzyki. Coraz więcej widzów, porwanych oszalałym rytmem, dołączało do tancerek.

W końcu Melissa popatrzyła na nocne niebo, na którym widniał już okrągły złoty księżyc. - Może powinniśmy już się zbierać? - spytała z pewnym ociąganiem.

- Tak. Byłoby lepiej, gdybyśmy... zaczął Barry.

- Dlaczego nie mielibyśmy delektować się czarem tej cudownej nocy jeszcze trochę dłużej? Zostańmy na noc! - przerwał Kirk. - Barry musi wrócić, ale my mamy czas. Zobaczą, czy uda mi się zorganizować jakiś nocleg - Kirk zniknął, zanim Melissa w ogóle wyraziła zgodę na jego plany.

Barry powstrzymał się od komentarza. Zmarkotniał tylko. - Czasem z dobrego przyjaciela wychodzi podstępny lis - mruknął i poświęcił swą uwagę tańczącym dziewczętom. Nie odwrócił głowy, gdy Kirk wrócił do stołu.

- Wszystko jest już załatwione. Nie dostaliśmy co prawda luksusowego apartamentu, ale każde z nas dostanie małą izdebkę ze zwykłą leżanką. Zgoda, Melisso?

Melissa kiwnęła głową. Jeszcze raz przypomniawszy sobie wydarzenia minionego dnia. Widziała Odette, słyszała jej oskarżenia, widziała Kirka, pobladłego i besztającego Odette... Ale potem jednak odszedł i zostawił ją samą. A następnego dnia niczego jej nie wyjaśnił, nawet nie usiłował. Melissa zdecydowała jednak, że nie będzie sobie psuć tego cudownego

wieczoru. Odette była daleko, a Kirk był z nią tutaj. Czego jeszcze chciała? - A jak wrócimy? - spytała, a głos zadrżał jej lekko.

Barry wstał. - Możecie przecież popłynąć do Papeete i poczekać tam na mnie, zauważył złośliwie. - W południe zabiorę was na wyspę, jeśli się nie potopicie po drodze.

- Zostaw to mnie, Melisso - Kirk dotknął jej dłoni pod stołem. - Znajdę jakiś sposób.

- No, to na razie, bohaterowie. Przyjemnej zabawy! - Barry odwrócił się i odszedł, mamrocząc coś do siebie.

Letnia noc była jakby stworzona dla zakochanych. Przez korony wysokich palm przedzierało się przyćmione światło księżycy, tu i ówdzie tworzyły się wysepki światła między prawie czarnymi pniami drzew. Krajobraz żywcem przeniesiony z jakiejś niezwykłej baśni.

Melissa i Kirk szli wolno plażą. Byli sami. Melissa poczuła, że Kirk ją obejmuje i serce zabiło jej mocniej. Co zdarzy się między nią i Kirkiem w tę letnią noc? - zadrżała.

- Nie jest ci zimno? Może już wrócimy? - usłyszała głos Kirka.

- Nie, nie, zostanemy jeszcze trochę. Noc jest tak piękna, a ja wcale nie czuję się zmęczona.

- Dobrze, poszukajmy wobec tego miejsca, gdzie moglibyśmy na chwilę usiąść. Dotarli do niewielkiej zatoczki, gdzie łagodne fale Pacyfiku malowały na piasku swe ulotne wzory. - Chodź, odpoczniemy chwilkę - usiadł na ciepłym jeszcze piasku. - Usiądź przy mnie, mały złocisty ptaszku - schwycił jej dłoń i raptem przyciągnął do siebie.

Melissa poczuła ciepły oddech na policzku i zrozumiała, że jest zdana na łaskę Kirka. Ku jej zdziwieniu odkrycie to było raczej podniecające niż niepokojące. Drżąc przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Kirk musnął wargami jej włosy. - Czy lubisz morze, Melisso? Czy lubisz południowy Pacyfik, za którym ja tak przepadam?

- Kocham te turkusowobłękitne wody i ogrom nieba rozpościerający się nad nimi.

Kirk westchnął. - Gdy po raz pierwszy ujrzałem moją wyspę, wiedziałem od razu - mój dom jest tutaj. Odnalazłem swoją ojczyznę i nigdy, przenigdy jej nie opuszczę. Pacyfik stał się częścią mojego życia i nigdy z niego nie zrezygnuję. Moje myśli i uczucia podporządkowane są rytmowi fal. Moja wyspa, błękitne morze i złote słońce należą na zawsze do mnie - a ja stałem się ich częścią.

Melissa milczała. Czy i ona uległa czarowi oceanu, czy też zauroczyła ją raczej silna osobowość Kirka? Jego bliskość zapierała jej dech w piersiach, zatrzymywała serce i otumaniała zmysły i rozum. Zawsze w obecności Kirka doznawała tak osobliwych uczuć.

Wargi Kirka musnęły jej policzek i spoczęły na ustach. Melissa zamknęła oczy. Usłyszała głucho dudnienie swego serca, krew zaszumiała jej w uszach i zagłuszyła szum morza. Bezwolnie osunęła się w ramiona Kirka odwzajemniając jego pocałunek.

Dłonie Kirka powędrowały przez plecy Melissy do jej talii i dalej aż na pośladki, gdzie nacisk dłoni nagle się wzmożił. Melissa jęknęła.

Nagle cofnął ręce i ciężko oddychając wyprostował się. - Już czas, Melisso, najwyższy czas! - podniósł się i podał jej rękę. - Powinniśmy już wracać.

Drogę powrotną odbyli w milczeniu. Melissa myślała intensywnie. Nieoczekiwana zmiana nastroju Kirka wprowadziła ją w zakłopotanie. Co zrobiła źle? Czy zraziła Kirka zbyt namiętnie odwzajemniając jego pocałunek? Zerknęła na niego spod oka.

Uśmiechał się. Przed drzwiami jej pokoju zatrzymał się. - Czy mogę jeszcze wejść na chwilę? - spytał cicho.

Melissę ogarnęła panika. Czy chciał ją wystawić na próbę? Co robić, co robić? Myśli wirowały w kółko. - Ja... - zawahała się.

Kirk wcale nie czekał na odpowiedź, tylko otworzył drzwi, popchnął Melissę do środka i wszedł za nią.

Melissa zaczęła nerwowo szukać kontaktu. - Nie - przytrzymał jej dłoń - nie zapalaj światła.

- Kirk, ja... my...

- Pssst, nie mów nic teraz. - Rozwiązał wstążkę, którą związane miała włosy. Wszystkie dziesięć palców Kirka zagłębiło się w ich jedwabistym przepychu. Potem pochylił się, ucałował niezwykle delikatnie jej usta i szepnął: - dobranoc, mój mały złocisty ptaszku. Dobranoc. - Otworzywszy drzwi zniknął bez szmeru w ciemności.

Po cudownie pokrzepiającym śnie Melissa obudziła się wczesnym rankiem. Wzięła prysznic i założyła wczorajsze ubranie. W końcu nie wzięła ze sobą nic na zmianę. Włosy uczesała małym grzebykiem, a wargi pociągnęła lekko szminką.

W drzwiach natknęła się na Kirka. - Dzień dobry, moja dziewczyno! - powitał ją radośnie, biorąc czule w ramiona.

- Dzień dobry, Kirk - Melissa drżąc ze szczęścia przytuliła się do niego. - Czy spałaś tak dobrze, jak ja?

- Jeszcze lepiej... śniłem bowiem o małym złocistym ptaszku budującym swe gniazdko na mojej wyspie.

Melissę zamurowało. Szybko zmieniła temat, mówiąc, że jest okropnie głodna.

- Trzeba temu zaradzić. Chodź! - wziął ją za rękę i zaprowadził do jadalni, gdzie właśnie nakryto do śniadania. Zapach świeżych rogalików i kawy przyjemnie drażnił nozdrza.



Napełnili talerze i zajęli miejsca przy małym stoliku. Dyrektor hotelu i jego urocza żona podeszli do nich życząc przyjemnego dnia i pytając o samopoczucie.

- Wszystko jest tu takie cudowne - powiedział Kirk - ale niestety, musimy odjechać. Czy może wie pan, jakby tu dziś przed południem dostać się do Papeete?

- Mogę to panu załatwić, Dalkeith. Niedługo jadę na lotnisko. Pewne małżeństwo leci do Papeete. Przy odrobinie szczęścia może się uda panu wytargować dwa miejsca dla siebie. Wie pan, te stalowe ptaki to właściwie koniki polne, ale nawet taki wehikuł powinien dolecieć do Papeete.

Kirk roześmiał się. - Dziękuję za propozycję i doceniam ją. Lepszy zły lot niż wycieczka wpław morzem. Co o tym myślisz, Melisso?

- Absolutnie się z tym zgadzam.

I rzeczywiście, znaleźli miejsca w niewielkim samolociku. W Papeete dowiedzieli się, że i Barry za chwilę wylądaje.

- A więc nie potopiliście się - przywitał ich miło Barry gramoląc się ze swego samolotu. - Już myślałem, że będę musiał wysłać ekipę ratowniczą, żeby was odnalazła.

Kirk skrzywił się. - Jak widzisz, przeżyliśmy... oboje. - Potem spoważniał. - Jestem trochę niespokojny, bo nie wiem, jak dawaliście sobie radę beze mnie.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wcale nie musiałeś się tak zamartwiać z tego powodu! - Barry spojrział na zegarek. - Równy za godzinę startuję z powrotem, możesz się więc przekonać na własne oczy, że wszystko gra - popatrzył na Melisę, uśmiechnął się do niej, po czym ponownie zwrócił się do Kirka. - Każdy uważa się za niezastąpionego i ty też nie jesteś pod tym względem wyjątkiem. A więc do zobaczenia wkrótce. Pojadę teraz po pasażerów do hotelu.

Oprócz Kirka i Melissy na pokładzie znalazło się jeszcze tylko czterech pasażerów. Samolot wziął kurs na Wyspę Szczęścia.

Gdy wylądowali, Barry i młody tubylec zajęli się bagażem pasażerów, a Kirk i Melissa ruszyli natychmiast do hotelu i razem wkroczyli do holu.

- Chwileczkę, chciałbym od razu rozmówić się z Odette. Muszę się upewnić, czy wszystko jest w porządku - poprosił Kirk uściskawszy dłoń towarzyszki.

Melissa odetchnęła głęboko. Już samo imię tej kobiety było dla niej wstrętne. Ale nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechając się podeszła z Kirkiem do recepcji.

- Och, Kirk i panna Arnell! - Odette obrzuciła Melisę mało przyjaznym uśmiechem. - Mam nadzieję, że dobrze się państwo bawili.

- Ależ tak, oczywiście - odrzekł Kirk z niewzruszonym spokojem. - Czy zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć, jakieś choroby, życzenia...

Melissa przeprosiła i poszła do swojego pokoju. Najpierw rozebrała się i czym prędzej weszła pod prysznic. Potem założyła lekką podomkę i wyciągnęła się na łóżku. Oczy zamknęły się jej same i musiała zasnąć, gdyż silne pukanie do drzwi niezwykle ją przeraziło. Podbiegła do drzwi.

Na korytarzu stała Odette. - Zabieraj swoje śmierdzące pazury od Kirka! - zasyczała jadowicie. - On należy do mnie, zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

- Jeśli Kirk istotnie do pani należy, to czemu był u mnie zeszłej nocy? Czemu spacerował ze mną po plaży w świetle księżycy? I dlaczego został na noc na Moorea, ze mną, a nie z panią? Czy te fakty nie mówią dość wyraźnie, do kogo należy Kirk?

- Nie dostaniesz go! Już ja się o to postaram - mówiąc to, Odette odwróciła się na pięcie i odeszła kręcąc biodrami.

Melissa zamknęła szybko drzwi, ale słowa Odette ciągle jeszcze dźwięczały jej w uszach. Między nią a Kirkiem nic się zeszłej nocy nie zdarzyło. Czy dlatego, że rzeczywiście należał do tej czarnowłosej piękności, czy też może dlatego, że uwzględnił jej wahanie?

Dobry humor znikł bez śladu. I o ile jeszcze przed chwilą cieszyła się na wspólne spędzenie wieczoru z Kirkiem, to teraz nie miała najmniejszej ochoty się z nim spotkać.

## Rozdział 6

Także następnego ranka humor Melissy nie poprawił się. Podeszła do okna i spojrzała w niebo. Prawie zdziwiła się, że nie było zachmurzone. Ale kwiaty wokół wydały się jej matowe, jakby straciły cały swój blask. Melissa westchnęła. Była taka szczęśliwa z Kirkiem. Dlaczego Odette musiała zniszczyć ich szczęście? A Kirk? Bezradnie patrzyła w dal. Które z nich kłamało? Odette czy Kirk?

Niechętnie poszła na taras, na śniadanie. Ale nawet pyszne owoce wydały jej się mdłe w smaku. Czuła się osłabiona i zmęczona i najchętniej wróciłaby z powrotem do łóżka. Zamiast tego zmusiła się do spaceru plażą w nadziei, że świeże morskie powietrze ożywi ją i przywróci chęć do życia.

Gdy słońce stanęło w zenicie, Melissa skierowała się z powrotem do hotelu. Czuła się już lepiej i nawet to nerwowe napięcie, które dokuczało jej od wczorajszego wieczoru, stopniowo zaczęło ustępować. Przechodząc obok tylnego wejścia do kompleksu hotelowego usłyszała głośny głos Odette.

- Ukradła mi mój pierścionek! - krzyczała przeraźliwie. - Mój pierścionek ze szmaragdem. I chcę go mieć z powrotem!

- Czy nie zamknęłaś drzwi? - ten głos należał do Kirka.

- Wiesz doskonale, że nigdy ich nie zamykam.

Melissa poszła powoli dalej. „Wiesz doskonale, że nigdy ich nie zamykam”, powiedziała Odette. Niby skąd Kirk miał to wiedzieć? Bała się odpowiedzi na to pytanie. Poczowała się nagle bardzo nieszczęśliwa. Pobiegnęła do pokoju. Myśli jej urządziły sobie prawdziwą gonitwę. Czy była tak głupia i naiwna, że zawierzyła mężczyźnie związanemu z inną kobietą? Czy obdarzyła uczuciem kogoś, kto szukał tylko niezobowiązującej przygody? Gdyby umiała odpowiedzieć sobie na te dręczące pytania...

Następnego ranka zobaczyła Odette i Barry'ego idących do samolotu. Fakt, którym się więcej nie zajmowała aż do chwili, gdy koło południa głośny warkot helikoptera zakłócił spokój gości.

Helikopter usiadł na lądowisku Barre'go i gdy silniki zmniejszyły obroty, otwarto luk. Ukazała się w nim Odette, a za nią funkcjonariusz policji francuskiej. Melissa obserwowała tę parę z zaciekawieniem. Widocznie Odette zgłosiła na policji kradzież pierścionka.

W holu spotkali Kirka. -

- Domagam się natychmiastowego ujęcia złodzieja! - rzekła Odette opryskliwym tonem. - Mój kuzyn przyleciał aresztować go.

- Chwileczkę! - Kirk zagroził drogę policjantowi. - Nikogo nie będzie pan tutaj aresztował. Ani teraz, ani później. Pańskie uprawnienia nie rozciągają się na moją wyspę. Tu decyduję ja. W związku z tym wzywam pana do natychmiastowego opuszczenia mojego terytorium, mój panie!

- A więc chronisz złodzieja?! Kradną mi tu pierścionek, a ty nie robisz nic, żeby ukarać sprawcę! - zaprotestowała Odette płonąca z wściekłości.

Policjant odwrócił się bez słowa i poszedł do wyjścia. Melissa odsunęła się, żeby go przepuścić. Wtedy Odette rzuciła się za nim wskazując palcem Melissę. - Tu! Tu ona stoi, Pierre! - złapała kuzyna za rękaw i zatrzymała go. - To ona ukradła mój pierścionek ze szmaragdem!

Melissa stała jak osłupiała i nie wierzyła własnym uszom. Czy ta Odette naprawdę oskarżała ją o kradzież? Ta kobieta chyba zwariowała!

W tym momencie Kirk przystąpił do działania. Złapał policjanta za kołnierz i popchnął go, wcale niełagodnie, do przodu. - Niech pan się stąd zabiera, młody człowieku. Pańska obecność jest tu niepożądana!

Ale Odette nie dała się tak łatwo pokonać. - Złodziejką! - zaskrzeczała wskazując wyciągniętym palcem na Melissę.

- Odette, opanuj się! - Kirk schwycił ją mocno za ramię, aż krzyknęła z bólu.

- Zostaw mnie!

Kirk nie przejął się jej słowami. - Bardzo mi przykro, że spotkała cię taka przykrość - zwrócił się do Melissy. - Aby jak najszybciej zakończyć tę nieprzyjemną sprawę, proponuję przeszukanie twojego pokoju, żebyś mogła udowodnić Odette, że jej śmieszne podejrzenia są błędne. Zgadzasz się?

Melissa zacisnęła pięści. Chociaż była zupełnie niewinna, kazano jej się tłumaczyć. Czy mogła dopuścić do tego, żeby przeszukano jej pokój? Jak on mógł?! Dlaczego zażądał tego od niej? Ale dobrze, nie miała nic do ukrycia, niech Kirk robi, co uważa za stosowne. Skinęła głową.

Usłyszeli silniki startującego helikoptera. Melissa poszła z Kirkiem do swojego pokoju. Odette podążyła za nimi. Pod uważnym wzrokiem Odette Kirk penetrował zawartość każdej szafy i każdej szuflady. Melissa przyglądała się ich poczynaniom w pełnym oszołomieniu. Czuła się upokorzona brakiem zaufania ze strony Kirka, który rewizją w jej pokoju jakby uznawał podłe oskarżenie Odette.

- Zobacz w łazience! - rozkazała Odette, gdy poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu.

Kirk usłuchał. - Jak sama widzisz, twojego pierścionka nie ma w apartamencie panny Arnell, Odette - zauważył po chwili. - Bądź więc uprzejma już się jej nie naprzykrzać! - podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. - Do widzenia.

- Mogłabym przysiąc, że go gdzieś schowała - mruknęła Odette rzucając ostatnie pogardliwe spojrzenie na Melissę. Wyszła wychodząc za Kirkiem na korytarz.

- Nie chciałabym pani pierścionka nawet w prezencie. Prawdopodobnie jest równie fałszywy jak pani! - krzyknęła za nią Melissa, rozgniewana i rozczarowana.

Kirk odwrócił się i podszedł do niej z powrotem. - Tak mi przykro, że cię wplątałem w tą sprawę, ale nie widziałem żadnej innej możliwości... - chciał ją wziąć w ramiona.

- Po raz pierwszy w całym moim życiu ktoś nazwał mnie złodziejką! - odepchnęła go od siebie. - A ty jej uwierzyłeś. Jej - nie mnie. Och, mam już dosyć ciebie i tej „Wyspy Szczęścia”. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że jeszcze dziś spakuję swoje rzeczy, a jutro odjadę.

- Chyba nie mówisz tego poważnie, Melisso? Zostań, proszę. Jeśli odjedziesz, umocnisz tylko Odette w jej podejrzeniach. Obiecuję ci, że wyjaśnię tę sprawę jak najszybciej. Prawdopodobnie Odette gdzieś zapodziała ten szmaragd. Rozejrzę się w jej pokoju.

- Zrób to. Niewątpliwie czujesz się tam, jak u siebie w domu.

- Co ma znaczyć ta głupia aluzja? Wiesz, że Odette nic dla mnie nie znaczy.

- Ach, tak? - Melissa była bliska łez.

- Czy ty w ogóle mi nie ufasz?

- Mam do ciebie akurat tyle zaufania, ile ty do mnie!

Twarz Kirka poczerwieniała. - Jeśli sprawy się tak mają... Nie mogę ci przeszkodzić w postępowaniu, które uważasz za słuszne! - opuścił pokój nie zaszczycając Melissy nawet jednym spojrzeniem.

Melissa patrzyła za nim, aż znikł w głębi korytarza. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Gdzie się podziało jej wczorajsze szczęście? Straciła je, nie zaznawszy go naprawdę. Poczowała gorące łzy na policzkach. Jej piękny sen o szczęściu rozwiął się. Ale może tak będzie lepiej. W sumie

lepiej, że nie spała z Kirkiem. Dzięki temu zapomni o nim szybciej... może.

Melissa długo stała pod prysznicem, jak gdyby woda mogła zmyć z niej wszystkie kłopoty, a potem długo wycierała się do sucha. Właśnie zakładała sukienkę, gdy rozległo się ciche stukanie do drzwi.'

- Kto tam? - spytała szorstko. Jeśli to Kirk, to odeśle go z kwitkiem. Nie chciała go widzieć. Nigdy więcej...

- Pani niezawodny doradca i pomocnik we wszystkich sytuacjach życiowych jest już tu i pragnie wejść! - odezwał się pogodny głos Barry'ego. - Zastępuję chwilowo kelnerkę.

Melissa roześmiała się jakby wbrew swoim chęciom. Otworzyła drzwi i ujrzała Barry'ego z tacą pełną przysmaków w rękach. - Uratował mi pan życie, Barry. Mam wilczy apetyt!

Barry odstawił tacę i zamknął za sobą drzwi. - Kirk opowiedział mi o spektaklu w inscenizacji Odette. Rozwiąże zagadkę zaginionego szmaragdu możliwie jak najszybciej, tak mi powiedział. Działa według ściśle określonego planu. Niechże pani okaże mu trochę cierpliwości, Melisso!

- Po co? Chcę wyjechać. Odette jest przekonana, że to ja ukradłam. A Kirk w jej obecności przeszukał mój pokój. Stoi więc po stronie Odette. Nie wiem, po co miałabym tu jeszcze dłużej siedzieć.

- Głowa do góry, dziewczyno! - Barry pogładził lekko jej dłoń. - Widzi pani wszystko w zbyt ciemnych barwach. Cała ta głupia historia niedługo okaże się pomyłką.

- Ale to już właściwie nie ma znaczenia, Barry! - rzekła Melissa uśmiechając się smutno.

- Mimo to, mam nadzieję, że kiedy tu wrócę wieczorem, nie będzie już pani taka przybita. I niech pani przemyśli tę pochopną decyzję wyjazdu jeszcze raz spokojnie. Proszę, niech pani nie odmawia tej jedynej prośbie przyjaciela!

- Obiecuję panu, że pomyślę jeszcze raz, ale...



- To mnie cieszy. Do zobaczenia wkrótce, Melisso! - wyszedł. Melissa uśmiechnęła się niezdecydowanie. Odwiedziny Barry'ego

podziały na nią jak skuteczne lekarstwo, a smaczny posiłek, który jej dostarczył, też zrobił swoje. W każdym razie poczuła się lepiej i postanowiła pójść na ostatnią przechadzkę, zanim zacznie się pakować.

Czas włókł się niemiłosiernie. Melissa nie zważała na otaczające ją piękno. Turkusowobłękitne morze straciło cały swój urok, nie docierał do niej ani śpiew ptaków, ani oszołamiający zapach kwiatów. Bez celu włóczyła się po okolicy pogrążona w niewesołych rozmyślaniach.

Choć wiedziała, że musi opuścić wyspę, to przykro jej się robiło na samą myśl o odjeździe. Ale przymykanie oczu na fakty nie miało sensu. Nie zrobiła użytku ze swego rozumu wmawiając sobie, ślepa na wszystko, że Kirk ją kocha. Pomyliła się jednak i nie pozostawało jej nic innego, jak spakować walizki i wyjechać. Im wcześniej, tym lepiej.

Ostatecznie zdecydowawszy się co do wyjazdu, wróciła do hotelu.

W pół godziny walizki były spakowane, a zatraskując zamki Melissa poczuła coś w rodzaju ulgi. Jutro rano poleci z Barrym i zamknie ten niewesoły rozdział swego życia raz na zawsze. Będzie kontynuowała zaplanowaną wcześniej podróż i zapomni o Kirku. Niech sobie Odette będzie z nim szczęśliwa...

Późnym popołudniem usłyszała samolot Barry'ego. Pocieszające, że miała w nim niezawodnego przyjaciela. Gdy po kwadransie usłyszała ciche pukanie do drzwi, otworzyła je natychmiast.

- Hallo, moja piękna przyjaciółko. Cały dzień cieszyłem się na ten widok! - Barry przywitał ją promieniejąc z radości,

ale za chwilę przestał się uśmiechać. - Kirk prosi panią do pokoju Odette - wzruszył ramionami jakby z ubolewaniem.

- Ach, tak? Nawet nie wiem, gdzie jest ten pokój, więc...

- Dlatego tu jestem! Zaprowadzę panią. Proszę, Melisso, niech pani pójdzie ze mną. Kirk ma jakiś plan, do którego realizacji potrzebni mu są świadkowie.

- Dobrze, pójdę, ale pod warunkiem, że nie zostawi mnie pan samej z Kirkiem! - Melissa wydała się sobie małym dzieckiem, które bojaźliwie szuka opieki ojca, gdy odczuwa strach przed czymś.

- Obiecuję - Barry wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju Odette. Przed drzwiami spotkali Kirka i jego ciemnowłosą przyjaciółkę.

- No, Odette, pootwieraj swoje szafy i komody, żebym mógł poszukać tego szmaragdu tak dokładnie, jak w pokoju Melissy!

- Co ci przyszło do głowy? Nie mam zamiaru pozwolić ci na to! - odrzekła Odette jakby odrobinę zbyt oburzona.

- Obawiasz się, że mógłbym gdzieś tutaj odkryć zaginiony klejnot?

- To niemożliwe! Pierścionek został mi skradziony. Może go mieć tylko złodziejka! - oskarżającym gestem wskazała Melissę.

- Tym mniej pojmuję, dlaczego tak bardzo bronisz się przed moją propozycją. Przecież nie masz się czego obawiać. Zakładając, że niczego nie znajdę...

- Oczywiście, że niczego nie znajdziesz i mam nadzieję, że przeprosisz mnie później z zachowaniem wszelkich form. - Odette choć bardzo niechętnie zgodziła się i otworzyła drzwi do swego pokoju.

Kirk podszedł do poszukiwań z tą samą pieczołowitością, jak w pokoju Melissy. Łazienkę zostawił na koniec. Wyszedł z niej z tygłem pełnym pudru i ręcznikiem. Ręcznik rozpostarł

na łóżku i wysypał na niego zawartość tygla. Nagle, w chmurze sypkiego pudru rozbłysnął, jak omszały kamień, rzekomo zaginiony szmaragd.

Odette pobladła.

- Zdradziłaś się sama, każąc mi przeszukać łazienkę Melissy! - z tymi słowami Kirk opuścił pokój Odette.

Barry i Melissa wyszli w ślad za nim, ale na korytarzu poszli w przeciwnym kierunku. Melissa zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju. Zawahała się przez moment, później zaś wyciągnęła rękę do Barry'ego. - Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił, Barry. Jutro wyjeżdżam. Proszę zarezerwować dla mnie miejsce w swoim samolocie. Nie ma powodu, dla którego miałabym tu dłużej przebywać. Wyspa Szczęścia nie okazała się dla mnie szczęśliwa!

## Rozdział 7

Następnego dnia Melissa pozostała w swym pokoju aż do odlotu samolotu. Nie miała jeszcze żadnych planów na nadchodzące dni. Co do jednego tylko nie miała żadnych wątpliwości - na Wyspie Szczęścia nie pozostanie ani chwili dłużej.

Niecierpliwie spoglądała na zegarek, ale czas płynął bardzo wolno. Wróciła myślami do pierwszego spotkania z Kirkiem, przypomniała sobie jego pieśń, te zachody słońca oglądane wspólnie, tę romantyczną noc przy księżycu na Moorea. Oczy jej napełniły się łzami. Pozostaną jej tylko te wspomnienia, wspomnienia krótkotrwałego szczęścia...

W końcu nadeszła pora odlotu. Wzięła bagaże i wyszła z pokoju. Szybko wymknęła się z hotelu i pobiegła piaszczystą ścieżką do samolotu. Z każdym krokiem walizki wydawały się coraz cięższe, a na dodatek obijały się boleśnie o jej nogi. Nagle potknęła się. Straciła równowagę i upadła. Poczowała jeszcze silny ból i uderzyła potylicą o ziemię. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

W pośpiechu nie zauważyła, że Kirk cały czas szedł za nią. Gdy zobaczył, że Melissa traci równowagę, wystraszony zawołał ją po imieniu i usiłował ją powstrzymać. Ale było już za późno. Ukląkł obok leżącej postaci wołając na pomoc Barry'ego.

- Przynieś kilka poduszek i koc! Pospiesz się! A bagaże zanieś do mojego biura!

Głos Kirka docierał do Melissy jakby z oddali. - Nie - poruszyła wargami, ale nie wydała żadnego dźwięku. Próbowwała otworzyć oczy, jednak powieki nie chciały się unieść.

- Co się stało? - spytała kilka godzin później leżąc w szpitalnym łóżku.

Ubrana na biało pielęgniarka uśmiechnęła się do niej uspokajająco. - Zmierzyłam pani ciśnienie. Jest w normie - nie ma powodu do obaw. A teraz wybierzemy się w małą podróż.

- Dokąd? - Melissa rozejrzała się ze zdziwieniem po małym pokoju o białych ścianach. - Ale ja nigdzie nie chcę jechać!

- Proszę się nie bać, będę przy pani. Nasz doktor chce pstryknąć pani kilka pięknych zdjęć rentgenowskich! - mówiąc to siostra zniknęła z pola widzenia Melissy. - Szybko powróci do zdrowia panie Dalkeith. Zawiozę ją teraz na prześwietlenie. To nie potrwa długo

- słysząc jeszcze było jej głos.

Dalkeith... dziwne nazwisko. Już je gdzieś słyszała, ale nie mogła do niego dopasować żadnej twarzy. Znowu zamknęła oczy. Bolała ją głowa. Co się jej przydarzyło?

Gdy obudziła się ponownie, czuła się już trochę lepiej. Zaciekawiona rozejrzała się w pomieszczeniu, w którym się znajdowała. Przez duże okno wpadało jasne światło, a biel ścian była wprost oślepiająca. Czy znalazła się w szpitalu? Ale skąd by się tutaj wzięła? Spróbowała się podnieść, ale zaraz opadła z jękiem na poduszkę. Dlaczego tak bardzo dokuczała jej ta głowa?

Drzwi się otworzyły i ujrzała w nich Kirka.

- Jak się czujesz? - zapytał cicho.

- Ja... nie wiem - głos jej odmówił posłuszeństwa.

Pochylił się nad Melissą przyglądając się z troską jej bladej twarzy.

- Kiedy dziś rano nie zeszłaś na śniadanie, zacząłem cię szukać. Najpierw zapytałem Barry'ego, czy cię nie widział, ale on zaprzeczył. Poszedłem więc do twojego pokoju. Chciałem cię przeprosić za moje fatalne zachowanie poprzedniego dnia. A gdy zastałem twój pokój zamknięty, przejrzałem na oczy. Z przerażającą jasnością uświadomiłem sobie, że nie żartowałaś

mówiąc o wyjeździe. W dzikiej panice pognałem na lotnisko, żeby jeszcze ciebie złapać zanim Barry odleci i zabierze mi ciebie na zawsze.

Kirk zachrypnął, a Melissa uchwyciła drżenie w jego głosie. Ale i jej własny głos wydał się jej obcy, gdy zaczęła mówić. - Dlaczego miałabym zostawać dłużej po tym, co się zdarzyło? I tak już zbyt długo tam siedziałam.

- Melisso - ujął czule jej dłoń i pogładził. - Przykro mi, jeśli odniosłaś wrażenie, że uwierzyłem oskarżeniu Odette. Nigdy nie posądzałem cię o kradzież. Od pierwszej chwili wiedziałem, że Odette chce ci dokuczyć i chciałem jej to udowodnić. Naturalnie nie powinienem odnosić się do ciebie tak opryskliwie i rozumiem; że mogłaś się poczuć urażona. Ale twoja złośliwa uwaga dotknęła mnie tak bardzo, że straciłem panowanie nad sobą. Niestety - spuścił głowę.

- Czy mogłabyś mi przebaczyć i czy moglibyśmy znowu... zostać przyjaciółmi?

Melissa zamknęła oczy. - Strasznie boli mnie głowa, Kirk. Zupełnie nie mogę zebrać myśli.

- Ach, tak, naturalnie. Zupełnie zapomniałem. Przepraszam, że się tak rozgadałem. Chciałem ci tylko wyjaśnić... - urwał i uśmiechnął się.

- Teraz potrzebujesz spokoju. Wrócę tu jutro.

Melissa spojrzała na niego. Poczowała uścisk jego dłoni i opuściła powieki. Nie, nie będzie już uczestniczyć w tej grze. Kirk jej nie uwierzył i tego faktu nic nie zmieni.

- No, młoda damo, miała pani szczęście. Niczego pani nie złamała ani nie naderwała. Tylko nadwreżone ścięgna lewego kolana zmuszą panią do przedłużenia sobie urlopu! - stary lekarz pogłaskał ją po ramieniu. - Do tego doszedł lekki wstrząs mózgu. Ale już za kilka dni dojdzie pani do siebie. Jeszcze przed południem założymy pani przepiękny biały gips

i dopasujemy kule. Gdy tylko masa gipsowa wyschnie, może pani iść do domu.

Do domu... Gdzie był jej dom? Dokąd miała pójść? Melissa skinęła głową w zamyśleniu. Jej ojciec nie żył, Nedra miała swoje życie. Po prostu nie miała nikogo. Dom - jeszcze niedawno myślała, że znajdzie go u Kirka. Było to jednak tylko tęskne marzenie nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

Następnego dnia Melissa poczuła się znacznie lepiej. Głowa przestała boleć, tylko w kolanie odczuwała jeszcze przeszywający ból.

Leżąc w łóżku zastanawiała się, dokąd się udać po wyjściu ze szpitala. Jej bagaże znajdowały się na Wyspie Szczęścia, ale tam nie chciała w żadnym wypadku wracać. Z drugiej strony nie mogła przecież kontynuować podróży z nogą w gipsie i o kulach. Że też musiał jej się przydarzyć ten głupi wypadek? Sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Tak, proszę! - Melissa usiadła.

Drzwi otworzyły się powoli i Barry wsadził głowę przez szparę.

- Hallo, piękna pani. Czy można wejść?

- Ależ tak, Barry. Cieszę się!

Barry podszedł do łóżka wskazując oskarżycielsko nogę w gipsie.

- Sama pani widzi, co się dzieje, gdy próbuje pani uciec przed Kirkiem, a może i przed samą sobą.

Wyciągnął długopis z kieszeni marynarki, schylił się nad gipsem i podpisał się na nim dużymi drukowanymi literami „BARRY”.

- No, teraz to ma już jakiś charakter - uśmiechnął się. - A może nie podoba się pani moje artystyczne pismo?

- Przeciwnie - Melissa także się uśmiechnęła. - Wygląda to zabawnie - nakryła nogę kołdrą. - Nie, żebym nie chciała oglądać pańskiego imienia - powiedziała przeprasząco. - Po prostu marzną mi palce.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Kirk.

- Ależ tu wesoło. Czy zapomnieliście, gdzie jesteście?

- Nie, nie. Jesteśmy w szpitalu, gdzie surowo zabrania się odwiedzającym rozbawiania pacjentów! - Barry mrugnął do Melissy.

Kirk pokręcił głową. - Dzieciaki - mruknął dobrodusznie. Zamierzają wypuścić cię stąd jutro, Melisso. Czujesz się już dość silna?

- spytał zatroskany.

- Będę szczęśliwa, kiedy wreszcie wyjdę z tego białego pokoju. Brakuje mi widoku turkusowobłękitnego morza.

- A może... jeszcze czegoś ci brakuje? - w oczach Kirka zabłyśły dziwne iskierki.

- O, tak... Tęsknię za barwnym przepychem kwiatów i ich oszałamiającym zapachem.

Barry odchrząknął. Wodził wzrokiem od jednego do drugiego, ale niczego nie komentował.

- Przyjadę po ciebie, Melisso - rzekł Kirk. - Zgadzasz się?

Kiwnęła głową.

- Kirk, przyjacielu, czas się pożegnać - odezwał się żartobliwie Barry. - Bo przez ciebie moi pasażerowie nie zdążą na kolację - popchnął Kirka w stronę drzwi. - Zobaczymy się jutro, Melisso. Cześć, cześć!

- Cześć, Barry. Miło mi, że pan wpadł.

- Miło było panią zobaczyć! - mówiąc to Barry przecisnął się za Kirkiem do drzwi.

- Do widzenia, Melisso! - Kirk popatrzył na nią.



- Do widzenia, Kirk.

Skłonił się i wyszedł. Melissa wlepiła wzrok w białe drzwi. Nie mogła rozwikłać swych uczuć do tego mężczyzny. Rozum mówił co innego, serce co innego...

- Widzę, że już jesteś gotowa - Kirk podał jej rękę z uśmiechem. - To cudownie. Tego właśnie oczekuję od mojej dziewczyny.

Dlaczego ciągle nazywał ją swoją dziewczyną? Czy w ogóle kiedykolwiek nią była? Dlaczego zachowywał się tak, jakby uznał za niebyłą podłą intrygę Odette i swoją rolę w całej tej sprawie? Nie mógł czy też nie chciał wejść w jej położenie ani zrozumieć, co jej uczynił?

- Możemy iść - powiedziała podnosząc się.

Kirk objął ją w talii i pomógł stanąć. Trwożnie zrobiła kilka niezręcznych kroków. Nie mogła poradzić sobie z wielką kulą i ze swoim sztywnym kolaniem, ale podtrzymywana silnym ramieniem Kirka pokuśtykała odważnie do przodu i już wkrótce poczuła się pewniej.

Papeete zalane było słońcem. Melissa poczuła ciepło promieni na swej skórze i zrobiło jej się lżej na duszy. Czy naprawdę musi opuścić te rajskie wyspy?

- Wynająłem samochód, żebyśmy mogli pojechać gdzie będziemy chcieli. Barry przyleci o zwykłej porze po południu. Zarezerwowałem dwa miejsca na powrotny lot. Kirk pomógł Melissie wsiąść do samochodu.

Milcząc jechali wzdłuż wybrzeża. W końcu Kirk zjechał z ulicy na parking.

- Myślę, że odpoczniemy tu chwilkę - rzekł poważnie. - Nie chciałbym, żebyś się zmęczyła.

- Chętnie wysiadłabym i trochę pospacerowała, bo plaża jest tu przepiękna, ale boję się, że brakuje mi zręczności w posługiwaniu się kulami.

- Będiesz miała dużo czasu na ćwiczenia, kiedy już znajdziesz się w domu.

Melissa patrzyła w dal. Co miał na myśli mówiąc o domu? Swoją wyspę? Ale tam była obca. Nagle przestała słyszeć szum fal. Zateśkniła za silnymi ramionami Kirka, za jego pocałunkami...

Przypomniał jej się sen, który miała w nocy przed wypadkiem. Sen z dzieciństwa, o którym już dawno zapomniała: przepiękny książę z bajki zatrzymuje przed jej domem złoty powóz, otula ją, Melisse, jedwabną peleryną i prosi, aby z nim pojechała do jego zamku. W tym miejscu zawsze się budziła, nie wiedząc, co mu odpowiedziała... Dziwne, że znowu przyśnił się jej ten sen.

- Gdy zobaczyłem, jak się przewracasz i tracisz przytomność, przestraszyłem się tak bardzo, że aż mi serce przestało bić - głos Kirka wyrwał ją z zamyślenia.

- Jestem twardsza niż myślisz.

- Na to wygląda. Co teraz zamierzasz, Melisso? Jakie masz plany na przyszłość?

Nagle uśmiechnęła się. - Mam tylko jeden plan, który chciałabym kiedyś zrealizować.

- Zdradzisz mi go?

Wzruszyła ramionami. - Czemu nie? Po powrocie do Kalifornii chciałabym otworzyć przedszkole.

Kirk milczał przez chwilę, a potem spytał cicho: - Czy to koniecznie musi być Kalifornia?

- Jasne - odrzekła - tam jest moja ojczyzna, tam się wychowałam. Brakuje mi tylko odpowiedniego kawałka gruntu, żeby ten zamiar wprowadzić w czyn. Ale, jak wrócę, zajmę się tym!

Kirk milczał.

Melissa nie dostrzegła bolesnego wyrazu, który pojawił się w jego oczach, gdyż zagłębiła się z powrotem w swoich niewesołych myślach.

Czy Kirk będzie za nią tęsknił? Czy może natychmiast o niej zapomni i zwróci się ku Odette, gdy tylko ona, Melissa, odjedzie? Prawdopodobnie szukał tylko przygody, przelotnego romansu na lato. Nadała tej historii większe znaczenie niż powinna.

W porze obiadowej odwiedzili miłą małą restauracyjkę leżącą na uboczu szlaków turystycznych, gdzie zjedli smaczny i w dodatku tani posiłek.

- Musimy już powoli wracać - stwierdził Kirk zamówiwszy jeszcze kawę dla Melissy. - Chciałbym zdażyć na lotnisko, bo choć Barry na pewno nie wystartuje bez nas, nie możemy wystawiać na próbę cierpliwości innych pasażerów.

Zapłacił i poszli do samochodu.

- Nie mam pojęcia, jak wcisnę moją gipsową nogę do wąskiego samolotu! - Melissa opadła z westchnieniem na siedzenie. - Ten gips ciąży mi jak ołów.

- Nie martw się. Jakoś cię wciśniemy do tej małej skrzynki Barry'ego. Melissa usadowiła się wygodniej. Przyjemnie jej było, że Kirk się o nią troszczy.

Na lotnisku Kirk posadził Melissę na ławce. - Odprowadzę auto i za kilka minut będę z powrotem - rzekł. - Czy ci wygodnie?

- Dziękuję - odparła Melissa z uśmiechem. - To na razie!

- Wszystko już załatwione! - krzyknął Kirk z daleka. - Z Barrym też się już widziałem. O, właśnie idzie!

Barry pchał przed sobą wózek z bagażami pasażerów. - A oto i nasz „kulawy kotek”. Serdecznie witamy na wolności - powitał Melissę żartobliwie. - Nie mogę co prawda wziąć pani

na wózek, ale za to uwolnię panią od kul - nie czekając na odpowiedź, zabrał kule Melissie i położył je na walizkach.

- Ależ... - Melissa pokręciła głową. - Proszę poczekać, Barry, nie mogę przecież chodzić bez kul. Jeśli zabierze mi je pan, będę zmuszona skakać na zdrowej nodze do samolotu.

- Nie będziesz zmuszona! - Kirk wziął ją na ręce i zaczął nieść w kierunku samolotu. Gipsowa noga Melissy sterczała w górę niczym oszczep.

Na próżno Melissa protestowała. Bliski kontakt z Kirkiem oszołomił ją. Poczowała żywsze bicie serca i jej oddech stał się szybszy. Jak ma się od niego uwolnić, kiedy najmniejsze dotknięcie tego mężczyzny wprawia ją w taki stan? Musi się opanować i lepiej kontrolować swoje uczucia. To tylko dwa tygodnie, a później zdejmą gips i znowu będzie mogła poruszać się swobodnie.

Ale do tego czasu będzie zdana na łaskę Kirka. Przeszył ją dreszcz.

## Rozdział 8

Po przebudzeniu się z głębokiego, kojącego snu, Melissa nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje. Przetarła oczy i rozejrzała się ze zdziwieniem. W końcu rozpoznała swój stary pokój.

Ostrożnie wydostała się z łóżka i poskakała do łazienki. Jakoś musi wziąć prysznic nie mocząc przy tym gipsu. Ale jak to zrobić? Stała prawą nogą w kabinie i zasunęła drzwi do połowy, wystawiając na zewnątrz lewą, zagipsowaną nogę. Pozycja ta daleka była od wygody, ale udało jej się umyć głowę i całe ciało. Wyczerpana tym wysiłkiem wsunęła się ponownie do łóżka. Westchnęła. Miło było znaleźć się w znajomym otoczeniu, w którym czuła się już, wbrew chęci, jak w domu.

Później wstała, ubrała się i... rozpakowała walizki. Teraz, chcąc nie chcąc, musiała tu zostać, dopóki nie wyleczy kolana. Kontynuowanie podróży z nogą w gipsie, a rozważała i taką możliwość, byłoby nierozsądne, a nawet niebezpieczne. Dlatego zarzuciła tę myśl szybko.

Czy zobaczy później Kirka? Melissa pokuśtykała na taras, zjadła śniadanie i postanowiła poleżeć trochę w ogrodzie. Usiłowała przyjąć właśnie możliwie jak najwygodniejszą pozycję na leżaku, gdy ujrzała Kirka jadącego na rowerze.

- Halo, Melissa. Cieszę się, że cię widzę! - pomachał ręką i zsiadł z siodelka. Oparłszy rower o pień palmy, przysunął sobie drugi leżak i usiadł obok Melissy. Spojrzał na jej wyciągniętą nogę.

- Kiedy, do diabła, ten Barry zdążył się uwiecznić na tym gipsie? - spytał najwidoczniej zirytowany. - A dlaczego ty mu na to pozwoliłaś?

Melissa roześmiała się rozbawiona. - Wcale nie pytał mnie o pozwolenie. W czasie swojej wizyty w szpitalu wyciągnął

nagle długopis i bez ostrzeżenia wymalował swoje imię na świeżym wtedy gipsie.

Kirk pokręcił głową. - Ale jak mogłem tego nie zobaczyć do tej pory?

- Rozwiązanie tej zagadki jest bardzo proste. W klinice napis Barry'ego przykrywała kołdra, a wczoraj miałam na sobie spódnicę prawie sięgającą kostek, a nie szorty.

- No, rozprawię się z tym facetem. Pisze potajemnie swoje imię na twojej nodze! - Kirk wydrapał scyzorykiem denerwujący napis.

Melissa zmarszczyła czoło. - Dlaczego to zrobiłeś? Przecież Barry miał dobre intencje, a zresztą... to fajny gest!

- Dobrze! Fajny gest! No, pewnie! Chciał mnie zdenerwować. On dobrze wie, jak to osiągnąć.

Czyżby Kirk był zazdrosny? Pokazał przecież, że nie bardzo mu na niej zależy. - Czy pojechałeś dzisiaj rowerem do wsi? - spytała, nie chcąc dłużej o tym rozmawiać.

- Tak, chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

- No i...?

- W porządku - Kirk wydawał się zadowolony. - Jedna z młodych kobiet wkrótce zostanie matką. Zbudujemy dla niej dom, żeby ona i młody mężczyzna, który ją kocha... ojciec dziecka, mieli własne gospodarstwo. Postaram się im pomóc. - Podniósł się. - Cieszę się, że już ci jest lepiej. Ale teraz muszę cię znowu opuścić. Zobaczymy się później.

Kirk wskoczył na rower i po chwili nie było go już widać.

Melissa spoglądała rozmarzona na wierzchołki palm hen, wysoko ponad jej głowę. Jak wyglądałoby jej życie w małej chatce - z Kirkiem? Zmarszczyła czoło. Co też jej chodziło po głowie? Ten rozdział był już zamknięty. Jeśli coś było, to już minęło. Dlaczego tak trudno było jej się z tym pogodzić?

- Niech pani zgadnie, co mam dla pani?

Melissa uniosła głowę. O mały włos nie wypadła jej z rąk książka, którą właśnie czytała.

- O, Boże, Barry, jak pan mnie przestraszył. Tak się zaczytałam, że w ogóle nie zauważyłam pana przyjscia. Mówi pan, że ma coś dla mnie?

- Tak, tutaj - pomachał przed nią białą kopertą. - List!

- List? Dla mnie? To pewno od Nedry. Proszę mi go dać!  
- wyciągnęła rękę.

- Chwileczkę! - Barry śmiejąc się schował kopertę za plecami. - Co dostanę, jak oddam pani list?

- Powinien pan raczej zapytać, co się z panem stanie, gdy pan tego nie zrobi!

- Zanim to nastąpi... Proszę. Z dalekiego Hongkongu. Barry wycofał się, gdy Melissa otworzyła kopertę. Dwa razy dokładnie przeczytała list. Stało tam czarno na białym, że Nedra chce ponownie wyjść za mąż. Jej wybrankiem oczywiście został Clive. Wesele miało się odbyć na Wyspie Szczęścia. Przeczytała list po raz trzeci. Nie, nie pomyliła się. Nedra i Clive chcieli tu na wyspie powiedzieć sobie „tak” i urządzić potem wielkie przyjęcie.

Melissa upuściła list. Zazdrościła Nedrze tego nowego szczęścia, które znalazła u boku Clive'a i szczerze się ucieszyła, że znowu ją zobaczy.

Po kolacji Melissa postanowiła pójść jeszcze na trochę do ogrodu. Wkrótce znaleźli ją tam Kirk z Barrym.

- Co za szczęście, że panią tu zastaliśmy! - zawołał Barry bez ceregieli siadając obok Melissy. - Kirk opowiedział mi właśnie o swych wielkich planach. Może panią też zapoznać z tymi projektami.

- Mówił mi już o nich przed południem.

- To prawda. Nie będziemy zamięczać Melissy szczegółami - Kirk rzucił ostrzegawcze spojrzenie Barry'emu.

- Ależ wcale mnie nie męczycie. Przeciwnie, uważam, że pomysł Kirka jest bardzo interesujący i chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie oczekującej dziecka. Ale i ja mam nowiny.

- Tak? Ciekaw jestem, co takiego - Kirk także wziął krzesło i uderzył nim, niby przypadkiem Barry'ego w pizczel.

- Dostałam list. Z Hongkongu - od Nedry - i Melissa zdradziła małżeńskie plany swojej byłej macochy.

- Najlepsze życzenia - rzekł z uśmiechem Barry. A jeśli miałyby pani ochotę na podwójne wesele, to w każdej chwili jestem gotów do usług. Wystarczy tylko kiwnąć na mnie palcem.

Kirk spojrział ze zdziwieniem na Barry'ego. Odwrócił od niego wzrok dopiero wtedy, gdy Melissa wybuchnęła śmiechem.

- Pan jest po prostu niepoprawny, Barry - parsknęła.

- Napisz Nedrze, że urządzimy im tutaj romantyczne wesele według ich życzeń.

- Dziękuję, Kirk - Melissa uśmiechnęła się. - Nedra będzie bardzo szczęśliwa.

- Proszę sobie przemyśleć tę sprawę z podwójnym weselem, Melisso - Barry mrugnął do niej uwodzicielsko. - Za jednym zamachem załatwiłoby się dwie sprawy, nie uważasz, Kirk?

Kirk nie odpowiedział.

Aby nie tracić niepotrzebnie czasu, Melissa nie wysłała listu tylko telegraficznie zawiadomiła Nedrę o wspaniałomyślnej propozycji Kirka. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że jest tak podekscytowana, jakby to ona miała wyjść za mąż, a nie Nedra.

Melissa nie dostała odpowiedzi na telegram. Dni mijały i jej niepokój wzrastał. Każdego dnia kuśtykała do Barry'ego pytając o pocztę. Ale za każdym razem przeżywała



rozczarowanie. Wiadomość od Nedry, na którą tak bardzo czekała, nie nadchodziła.

Melissa zaczynała się już martwić. Czy może pokłóciła się z Clivem? Melissa знаła Nedrę wystarczająco długo, aby wiedzieć, że często reaguje ona spontanicznie i gwałtownie.

Kirka widywała rzadko w tych dniach. Już wczesnym rankiem wsiadał na rower i wracał dopiero późnym wieczorem. Na pytanie Melissy, czym jest zajęty całymi dniami, odparł, że pracuje przy budowie domu dla młodej pary tubylców. Melissa zdziwiła się trochę, że ta praca pochłania aż tyle czasu, z drugiej strony nie bardzo się orientowała, ile może trwać taka budowa.

Melissa myślała teraz coraz częściej o powrocie do Kalifornii. Ale wcale nie cieszyła jej tak bardzo perspektywa ujżenia starych przyjaciół i sąsiadów, ani nawet marzenia o własnym przedszkolu, które teraz mogła zrealizować. Ciekawe, tyle lat czekała na to, że wreszcie stanie na własnych nogach, a wcale jej to tak bardzo nie cieszyło. Tak, czasami wydawało jej się, że nie jest już tą samą Melissą sprzed kilku tygodni. Sama sobie wydawała się obca.

Usłyszała warkot samolotu Barry'ego. Barry, jak zawsze, posadził lekko maszynę i zgasił silniki. Otwarto luk i za Barrym kolejno wychodzili pasażerowie.

Czy pójść i spytać o pocztę? Melissa wahała się. Jeśli Nedra dotychczas się nie odezwała, to pewnie już nie napisze.

Prawdopodobnie zmienili z Clivem swoje plany.

Nagle oczy Melissy rozszerzyły się ze zdumienia. Czy to nie Nedra i Clive wyglądali przez luk i żartowali z Barrym? Melissa schwyciła kule i pokuśtykała im na spotkanie najszybciej jak mogła.

- Nedra, Nedra! O, jak się cieszę, że cię widzę! - prawie straciła równowagę próbując przywitać się z Nedrą.

- Powoli, Lisso, powoli! - Nedra podparła ją w ostatniej chwili. - Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak się cieszę, że znowu cię widzę. Ale opowiedz, co się stało? Dlaczego nic mi o tym nie napisałaś?

- Ach, to tylko głupi niegroźny wypadek, nic więcej. Czuję się już dobrze. Naprawdę. Ach, Nedro, nareszcie jesteś. Mamy sobie tyle do opowiedzenia.

Nedra roześmiała się. - Tematu do rozmowy starczy nam na ładnych kilka godzin. - Nagle spoważniała. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że ponownie wychodzę za mąż? Bardzo kochałam twojego tatę, ale on nie żyje, a ja muszę sobie urządzić życie bez niego.

- Oczywiście, Nedro! - Melissa uścisnęła dłoń macochy. - Przecież to twoje życie. Jakże mogłabym wtrącać się do tego, jak je sobie ułożysz? Powinnaś być szczęśliwa. I wierz mi, tata by nie chciał żebyś resztę swego życia spędziła w żałobie - powiedziała poważnie i serdecznie. - Tak, a teraz powinnam się wreszcie przywitać z biednym Clivem, o którym całkiem zapomnieliśmy. Hallo, Clive! Gratuluję złowienia Nedry. Nie będziesz tego żałował.

- Też tak myślę! - Clive i Nedra wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - A poza tym dostanę miły dodatek w postaci przyszywanej pasierbicy. Muszę przyznać, że mi się udało.

Ze śmiechem ruszyli w stronę hotelu.

Następne dni były burzliwe. Nedra rzuciła się z właściwym sobie zapalem w wir przygotowań do ślubu. Interesował ją każdy szczegół. Wszystko miało być jak najdokładniej przygotowane - stroje, przyjęcie i sama ceremonia.

Clive już na samym początku dał Nadrze swobodę w podejmowaniu decyzji. Zastrajkował jedynie wtedy, gdy Nedra zaproponowała, żeby wystąpili w strojach tubylców.

- O, nie, skarbie - bronił się stanowczo. - Nikt, nawet ty, nie zmusi mnie, żebym na wpół nagi zawierał związek na całe życie. Jeśli moje białe bawełniane spodnie nie nadają się do tego celu, to zapomnijmy o tym całym przeklętym weselu.

Przestraszona Nedra ustąpiła. Zdziwiło to Melissę. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, żeby Nedra tak łatwo zrezygnowała z czegoś, co już raz wbiła sobie do głowy. Musiała rzeczywiście bardzo kochać Clive'a. Inaczej nie można było wyjaśnić jej uległości.

Na dwa dni przed tą wielką uroczystością Melissa i Nedra sprawdziły jeszcze raz, punkt po punkcie, stan przygotowań.

- Przypuszczam, że ksiądz będzie z Papeete? - spytała Melissa mimochodem.

- Ojej! Ksiądz! - Nedra jęknęła łapiąc się za głowę, - Jak mogłam zapomnieć o księdzu?

- Nie martw się. Na pewno Barry załatwi to jutro w Papeete. Chodź, powiemy mu od razu. I tak muszę z nim porozmawiać. W końcu jutro mają mi wreszcie zdjąć to monstrum, ten okropny gips. Przeobrażę się w nowego człowieka.

Barry'ego znalazły przy recepcji rozmawiającego z Odette.

- Tu pan jest, Barry - Nedra uśmiechnęła się do niego. - Przepraszam - skinęła Odette głową. - Czy mógłby pan załatwić na pojutrze księdza, który udzieli nam ślubu?

Barry spojrział na nią zaskoczony. - Myślę, że tak. Chociaż, o ile wiem, nasze prawo nie wymaga błogosławieństwa księdza.

- Znam jednego księdza, który przyjedzie, jeśli go o to poproszę - wtrąciła Odette. - Dam ci do niego liścik, Barry. Na pewno się zgodzi.

Melissa zmarszczyła czoło. Nie przypadła jej do gustu myśl, że w ten sposób Odette włączyła się w przygotowania do uroczystości. Ale taka była decyzja Nedry...

W dzień wesela Kirk i Melissa spotkali się w ogrodzie przy śniadaniu. Dzień był przepiękny. W jasnych promieniach słońca turkusowobłękitne morze lśniło srebrem i delikatnie szumiało falami.

- Dzień dobry! - krzyknął wesoło Kirk. - Czy nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną po śniadaniu do wsi. Moglibyśmy przy okazji przypomnieć wszystkim o dzisiejszej uroczystości. Poza tym myślę, że to będzie szczególnie miłe, gdy drużna i mistrz ceremonii osobiście zaproszą gości. Co o tym myślisz?

- Wspaniały pomysł, Kirk. To się ludziom spodoba, jestem pewna - policzki Melissy zarumieniły się. Serce jej zaczęło bić szybciej na myśl o tym, że będzie dłuższy czas sama z Kirkiem. Chociaż rozum był przeciwny, zmysły i uczucia nie mogły się oprzeć wdziękowi tego mężczyzny.

Po śniadaniu Kirk podał jej rękę. - Chodź - powiedział. - Co prawda wiem, że powinnaś jeszcze właściwie chodzić o dwóch kulach, ale zostaw tu jedną i wesprzyj się na mnie. - I nie czekając na odpowiedź, mocno objął ją lewą ręką w tali.

Przedpołudnie minęło w oka mgnieniu i ledwie skończono ostatnie przygotowania, a już wskazówki zegara zbliżyły się do siedemnastej, godziny, o której miały rozpocząć się uroczystości weselne.

Przed kościołem, jedynym na wyspie, czekał ksiądz w czarnej sutannie. Obok niego stała Odette, ubrana w typową dla mody południowego Pacyfiku barwną spódnicę, która bardziej odsłaniała niż zakrywała jej kształty. Melissa odwróciła wzrok. Od czasu, gdy Odette oskarżyła ją o kradzież, unikała jakichkolwiek kontaktów z nią, o ile nie było to konieczne.

Według starego obyczaju Melissa jako drużna prowadziła procesję. Szła powoli, tylko o jednej kuli, środkową nawą kościoła, podziwiając jego przystrojone kolorowym kwieciami

wnętrze. Jasne włosy spadały jej na plecy, a wieniec upleciony z białych kwiatów hibiskusa zdobił ją jak korona królowej.

Za nią kroczyła Nedra, nie mniej piękna i atrakcyjna. Jako panna młoda przystrojona była w podwójnie splecioną girlandę z białych i ciemnoczerwonych kwiatów. Takie same kwiaty zdobiły także jej długą aż do ziemi spódnicę.

Barry zaproponował w żartach, że odegra rolę ojca panny młodej i poprowadzi ją do ołtarza. A Nedra od razu złapała go za słowo. Właściwie był trochę za młody, ale w końcu lepszy taki „ojciec” niż żaden. Kroczył więc u boku Nedry tak zadowolony z siebie, jakby to on był szczęśliwym panem młodym.

Gdy w końcu wszyscy zebrali się przed ołtarzem, młodzi tubylcy schwycili się za ręce i utworzyli krąg wokół młodej pary, gości honorowych i księdza. Ksiądz rozpostarł ramiona i powitał zebranych po francusku. Odette tłumaczyła.

Melissa musiała przyznać, że Odette bardzo się starała. Zastanawiała się, czy to z powodu wyrzutów sumienia Odette zaproponowała swoją pomoc, czy macosze chciała wynagrodzić krzywdę jej pasierbicy. Może nie była złym człowiekiem. Melissa postanowiła być uprzejmiejsza w stosunku do niej, choćby jej to miało przychodzić z trudem.

Po ślubie tubylcy odtańczyli na cześć nowożeńców taniec w rytm uderzanych o siebie kijów bambusowych. Melissa zamknęła oczy. Przypomniały jej się sceny owej nocy, którą spędziła z Kirkiem na Moorea. Odetchnęła głęboko. Nie, co minęło, już nie wróci. Po co psuć sobie nastrój wspomnieniami, które ją teraz zasmucały? Wszyscy wokoło byli w świetnych humorach, raczyli się wspaniałymi potrawami i napojami i każdy na swój sposób cieszył się z wesela Nedry i Clive'a.

Melissa dołączyła do rozbawionych gości. Starła się czuć swobodnie i wesoło. Na próżno. Pozornie pogodna, czuła się

w istocie bardzo przygnębiona. Nie opuszczała ją myśl, że dzień, w którym opuści Wyspę Szczęścia, zbliża się coraz bardziej.

## Rozdział 9

Następnego dnia po weselu Kirk zaprosił wszystkich gości na śniadanie. Melissa wstała bardzo wcześnie, żeby mieć więcej czasu na prysznic i ubranie się. Wybór jej padł na suknię, której ani razu nie miała na sobie w czasie pobytu na wyspie. Trzymała ją na specjalną okazję. Wiedziała, że krój tej sukni podkreśli jej zgrabną figurę i że barwa kobaltu doskonale kontrastuje z jej jasnymi włosami i świeżą cerą.

Uważnie skontrolowała w lustrze, jak suknia na niej leży i uśmiechnęła się, zadowolona z efektu tych krytycznych oględzin. Na szyję założyła łańcuch z białych muszelek i wyszczotkowała włosy spadające miękkimi falami na plecy. Założyła białe sandaalki i ruszyła na spotkanie Nedry, Clive'a i innych uczestników wczorajszej uroczystości.

Na tarasie ogrodowym panował już ożywiony ruch. Melissa odnalazła Nedrę i jej świeżo poślubionego małżonka w tłumie rozbawionych gości. Postanowiła, mając na względzie swoją nogę, którą należało jeszcze oszczędzać, nie przepychać się do nich i rozejrzała się za jakimś stolikiem, przy którym mogłaby usiąść.

- Melissa! - Kirk szedł ku niej wielkimi krokami.

Serce Melissy zabiło mocniej na jego widok. Wyglądał oszołamiająco w świetnie skrojonych jasnoszarych spodniach i w jasnobłękitnej jedwabnej koszuli z krótkimi rękawami. Ten kolor znakomicie podnosił ciemny brąz jego opalenizny. Melissa musiała się pohamować, żeby nie podnieść ręki i nie dotknąć jego lśniących czarnych włosów, potarganych przez wiatr.

- Dzień dobry - zatrzymał się o kilka kroków od niej obrzucając ją pełnym podziwu spojrzeniem. - Jaka ty jesteś piękna - szepnął i podszedł bliżej. Ujął dłonie Melissy i w milczeniu patrzył jej w oczy. - Melissa poczuła się tak, jakby

miedzy nimi przebiegł prąd. Poczwała dreszcze i ciepło przyjemnie ogarniające ją całą.

- Zjedzmy razem śniadanie - zaproponował Kirk i zaprowadził ją do bufetu. - Moi kucharze przeszli właśnie samych siebie. Zobacz, jakie wyszukane przysmaki nam przygotowali. Możesz dokonać wyboru między jajami smażonymi na szynce, pasztecikami serowymi prosto z pieca, sznyclami z mango i papayi z płatkami kokosowymi. Do tego oczywiście świeże soki owocowe i kawa lub herbata. No i co? Zdecydowałaś się już?

- Osiołkowi w żłoby dano... - Melissa jęknęła teatralnie. - Popatrz, Nedra i Clive. Chodźmy się z nimi przywitać - położyła dłoń na ramieniu Kirka, ale zaraz ją cofnęła, ponieważ zauważyła, że zadrżał pod wpływem jej dotyku.

- Cześć, nowożeńcy! - Kirk wydawał się zadowolony, że nie jest już sam na sam z Melissą. - Szczęście macie wypisane na twarzach!

- Nie będziemy temu przeczyć - Nedra i Clive wymienili czułe spojrzenia.

- Tak się cieszę, Nedro - Melissa serdecznie objęła macochę. I ty, Clive, możesz się czuć szczęśliwy, że trafiła ci się taka żona.

- Nie będę się upierał, że na nią zasłużyłem, ale sam też mam coś do zaoferowania - mrugnął do Nedry. - Nieprawdaż, kochanie? Ale na pewno będę o nią dbał i nigdy nikomu jej nie oddam - objął Nedrę ramieniem i przyciągnął ją do siebie.

- Już jestem! - z talerzem naładowanym po brzegi, jakby pościł co najmniej przez tydzień, pojawił się Barry. - To na wypadek, gdyby mi się nie udało później czegoś przekąsić - wyjaśnił krzywiąc się, gdy zobaczył rozbawione spojrzenia. - Zawsze trzeba być przygotowanym na wszystko!

- Mam nadzieję, że samolot nie spadnie z powodu nadmiernego obciążenia - zakpił Clive.



- Ta zjadliwa uwaga zazdrośnika coś mi przypomniała - Barry odstawił talerz i usiadł. - Kiedy nowożeńcy chcą odlecieć? Dziś wyjątkowo pasażerom wolno wybrać godzinę odlotu.

- Ojej, na taki prezent ślubny wcale nie liczyliśmy! - roześmiała się Nedra. - Spakowaliśmy już nasze rzeczy i w każdej chwili możemy wyruszyć.

- Tym lepiej. Proponuję, żebyśmy odlecieli zaraz po śniadaniu. Spokojnie zjedli śniadanie i w godzinę później odprowadzili nowożeńców do samolotu.

- Wkrótce wrócę do domu - Melissa szepnęła na ucho Nedrze, gdy się żegnały.

- Będziemy czekać, Lisso.

- Proszę wsiadać! - zawołał Barry.

- Wszystkiego dobrego! - po raz ostatni Melissa pocałowała Nedrę. A potem stała obok Kirka odprowadzając oczami, wilgotnymi od łez, szybujący w przestworzach samolot.

- Kiedy już nie będziesz musiała chodzić o kulach, chciałbym ci coś pokazać, Melisso.

Głos Kirka wyrwał ją z zamyślenia. - Jutro mam ostatnie badanie. Jeśli się okaże, że z kolaniem jest wszystko w porządku, pozbędę się tych uciążliwych narzędzi i odzyskam wreszcie... swobodę ruchów.

Kirk popatrzył na nią w milczeniu i zaproponował, żeby wrócili do hotelu.

Już od dwóch dni Melissa nie widziała Kirka. Czyżby zapomniał, że chciał jej coś pokazać? Melissa wyprostowała i zgięła lewą nogę. Kolano było jak nowe, jak stwierdził stary lekarz po ostatnim badaniu.

Właściwie mogłaby już wyjechać. Ociągała się jednak. Wyspa stała się jakby jej drugą ojczyzną, teraz czuła się tu bardziej zdomowiona niż w jej prawdziwym domu w

Kalifornii. Teraz mieszkali w nim Nedra i Clive. Nawet myśl o przedszkolu, które chciała otworzyć, nie przyspieszała decyzji wyjazdu. Gdzie się podział cały jej zapał do tego przedsięwzięcia?

Wieczorem, po kolacji, zobaczyła Kirka w holu. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Pracował pewnie do późna we wsi, bo miał na sobie poplamione dżinsy i koszulę, przy której brakowało kilku guzików. Wszedł z holu nie dostrzegając Melissy.

Patrzyła za nim jeszcze przez chwilę. Dlaczego nie zrobił sobie przerwy na odpoczynek? Wydawało się, że jakiś wewnętrzny przymus każe mu dzień w dzień, tak intensywnie pracować. Co to mogło być?

Melissa poszła w zamyśleniu do pokoju, żeby się przebrać; chciała jeszcze pospacerować po plaży. Za cel obrała sobie zatokę między skałami, gdzie spotkała Kirka po raz pierwszy.

Stała boso w płytkiej wodzie obmywającej jej stopy. Wzrokiem błędziła po niezmierzonej przestrzeni oceanu i nieba. Słońce zaszło już za horyzont, a na niebie pojawił się błądy sierp księżycy i pierwsze gwiazdy.

- Tu jesteś. A więc przecucie mnie nie myliło! - usłyszała nagle głęboki głos Kirka. - Czy wybierzesz się jutro ze mną do wsi? Chciałbym ci coś pokazać. Proszę, Melisso, pojedź tam ze mną!

Melissa zawahała się, ale skinęła głową. - Dobrze, pojedę, jestem ciekawa, co chcesz mi pokazać.

Stali bez ruchu naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy. Po chwili Kirk zrobił krok w stronę Melissy i nagle... przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Przebac mi, mały złocisty ptaszku - szepnął między pocałunkami. - Przebac mi, proszę, jeśli cię skrzywdziłem.

Melissa przytuliła się nieśmiało do niego. Nagle poczuła się cudownie bezpieczna w jego ramionach. - Kirk... ! - głos jej zamarł. - Powinniśmy już wracać.

- Tak, mały złocisty ptaszku. Chodźmy! Trzymając się za ręce wrócili do hotelu.

- Do jutra!? - spytał Kirk, chcąc się jeszcze raz upewnić.

- Tak, do jutra. Dobranoc!

- Dobranoc, Melisso.

Następnego ranka Melissa wstała wypoczęta i w świetnym humorze. Wieczorne spotkanie z Kirkiem poruszyło ją bardzo. Poprosił ją o przebaczenie. Czy mogła chcieć czegoś więcej? Dziwne, ani razu nie wspomniał o miłości. Co mogło być tego przyczyną? Może nie chciał się zbyt wcześnie wiązać? A może... może powodem była Odette?

W wygodnych espadrylach, džinsach i białej bluzeczce zeszła na śniadanie wcześniej niż zazwyczaj. Ponieważ Kirk nie podał dokładnej godziny, wolała raczej poczekać na niego niż się spóźnić. Kończyła właśnie jeść, gdy nadszedł Kirk.

- Dzień dobry, Melisso. Już jesteś gotowa? - spytał z uśmiechem.

- Tak, właśnie skończyłam śniadanie. Dzień dobry, Kirk!

- Wypijesz jeszcze filiżankę kawy? A ja zjem coś w tym czasie.

- Z przyjemnością.

Melissa obserwowała jedzącego Kirka. Kruczoczarne włosy i także brwi nadawały mu wygląd pirata. Prosty nos i wydatny podbródek znamionowały siłę woli, pełne wargi zmysłowość i uczuciowość. Kirk był atrakcyjnym mężczyzną, mężczyzną, o jakim marzyła niejedna kobieta.

Kirk wytarł usta serwetką. - Rowerem szybciej dotrzemy na miejsce. Ale mam tylko jeden, więc musielibyśmy jechać na nim razem.

- Wolę to niż marsz w tym upale. Czy rower wytrzyma podwójne obciążenie? - spytała ze śmiechem Melissa.

- To się okaże. Spróbujemy?

- Naturalnie. Przecież to nie mój rower się załamie.

Bez większych jednak trudności pokonali niezbyt długą drogę do wioski. Kirk zahamował i pomógł Melissie zejść z roweru. Ona zaś patrzyła zaskoczona na niski drewniany dom wielkości podwójnego garażu, którego nie było tu przed jej wypadkiem.

- Kto zbudował ten śliczny domek? - spytała. Zamiast odpowiedzi, Kirk skrzyżował ręce na piersiach i uśmiechnął się szeroko.

- To ty go zbudowałeś, co? - stwierdziła w końcu.

- Tymi rękami! - pokazał jej stwardniałe dłonie. Jeszcze widać ślady.

- A więc cały ten czas poświęciłeś zrobieniu tego pudełeczka? - Kirk przytaknął z dumą. - Chciałabyś wejść do środka?

- No pewnie!

Kirk otworzył drzwi i puścił Melisę przodem. Zdziwiona rozejrzała się po pomieszczeniu. Dokładnie pośrodku stał duży stabilny stół o bardzo niskich nogach. Wokół niego stało dwadzieścia pięć dziecięcych krzesełek. Na dwóch ścianach wisiały w nieregularnych odstępach węższe i szersze półki, na trzeciej ścianie wisiała dwudrzwiowa szafka na naczynia, pod nią znajdował się zlewozmywak, a jeszcze kawałek dalej dwie małe umywalki. Sięgające od sufitu do podłogi okna zapewniały odpowiednią ilość światła.

Melissa spojrzała ze zdziwieniem na Kirka. - Chcesz tu otworzyć przedszkole?

Kirk kiwnął głową. - Ale to ty będziesz je prowadzić. Myślę... mam nadzieję, że zechcesz. Chcesz, Melisso? Jeśli

powiesz "tak", należy to już do ciebie. Od zaraz! - odwrócił się i pokazał coś za plecami Melissy.

Ujrzała nowiutki damski rower, oparty o drzwi, którego dotychczas nie dostrzegła. - Po prostu nie wierzę własnym oczom - rzekła zmieszana.

- Oczywiście, brakuje jeszcze potrzebnego wyposażenia, ale załatwię wszystko, co będziesz chciała. Dzieci potrzebują kogoś, kto by się nimi zajął, a ich rodzice pokładają w tobie wielkie nadzieje, od kiedy im wszystko o tobie opowiedziałem. Proszę cię, Melisso, powiedz tak!

- Kirk, ja... jestem wstrząśnięta! To chyba najlepsze określenie! Kirk wziął ją za rękę. - Przypominasz sobie, jak cię kiedyś spytałem, czy koniecznie musisz realizować swoje plany w Kalifornii? Wiem, że dużo zaryzykowałem, zaczynając budowę bez wcześniejszego rozmówienia się z tobą. Ale pomyślałem sobie i, chyba się nie pomyliłem, że zgodzisz się, gdy już zobaczysz gotowe przedszkole. Proszę cię, nie odmawiaj, Melisso! - poszukał jej wzroku. - Nie mów "nie"!

Melissa odchrząknęła. Jej marzenie stało się rzeczywistością i nawet nie musiała opuszczać Wyspy Szczęścia, tylko tu, na miejscu mogła realizować swoje plany. Kirk ofiarował jej to wszystko, do czego dążyła. - Czy mogę zamówić zabawki, książki i naczynia? - zapytała nie patrząc na Kirka.

- Chcesz... och, Melisso! - Kirk złapał ją wpół, podniósł do góry i zakręcił kilka razy w kółko. - Dziękuję! - krzyknął prawie bez tchu i pocałował ją gwałtownie. - Dziękuję, Melisso! - postawił ją na ziemię i przyciągnął do siebie, ani na chwilę nie odwracając ust od jej warg.

Melissa zamknęła oczy odwzajemniając jego pocałunek. - Dziękuję ci, Kirk - westchnęła uszczęśliwiona, gdy po długiej chwili oderwali się od siebie.

Długo patrzyli na siebie w milczeniu nie mogąc uwierzyć w to, co wyczytali w swych oczach - czułość, pożądanie i miłość.

- Pójdziemy trochę popływać? - spytał Kirk, gdy wrócili już do hotelu, każde na swoim rowerze.

- W zatoce przy skałach? - Melissa uśmiechnęła się.

- Tak. Ścigamy się, kto dotrze tam pierwszy?

- Ha, pobiję cię o kilka długości! - Melissa zaczęła się spieszyć. Z prędkością huraganu przebrała się w swoim pokoju w chabrowe bikini, zarzuciła na ramiona lekki płaszcz kąpielowy i pobiegła na plażę. Do zatoki dotarła rzeczywiście wcześniej niż Kirk. Zostawiła płaszcz na piasku i rzuciła się w fale. Za jej plecami rozległ się głośny plusk. Już ją gonił. Wkrótce płynęli obok siebie.

- Pytam się, jak to jest możliwe, że ptak zamienia się w rusałkę - odezwał się Kirk. - Przypominasz mi syrenę, kiedy tak wynurzasz się z fal z tymi długimi jasnymi włosami. A kiedy jesteś na lądzie i włosy masz związane w ten zabawny węzełek, to zamieniasz się znowu w mojego małego złocistego ptaszka.

Melissa roześmiała się. - No to zobaczymy, czy twoja teoria metamorfozy jest słuszna. Powoli drętwieją mi ramiona i jeśli wkrótce nie poczuję gruntu pod nogami, to nie będę ani syreną ani małym złocistym ptaszkiem, tylko trupem pływającym gdzieś po morzu.

Popłynęli z powrotem na płytką wodę.

- Chodź, mój mały złocisty ptaszku! - Kirk objął Melissę i wyciągnął ją z wody.

Melissa poczuła, że serce bije jej jak młotem.

- Chcę ciebie - szepnął Kirk. - Czy wyglądasz jak zaczarowana rusałka, czy jak ćwierkający złocisty ptaszek, zawsze jesteś moją dziewczyną, na którą latami cierpliwie

czekałem. - Wyniósł ją na plażę i opuścił na ciepły piasek. - Pragnę cię... - przyłgął ustami do jej rozchylnych warg.

Melissa westchnęła. Prawie boleśnie tęskniła do uścisków Kirka. Tak, ona też go pragnęła, chciała być z nim blisko, poczuć go w sobie. Teraz! Już! Nie myśląc o tym, co będzie później. To było nieważne. Ważna była ta chwila i pragnienie, żeby mężczyzna trzymający ją w ramionach ugasił ten trawiący ją ogień. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się namiętnie.

- Hm! Igrasz z ogniem - mruknął. - Jestem wygłodzonym wężem morskim, który owinie się wokół małej rusałki i połknie ją razem ze skórą i włosami.

- Dlaczego tego nie robisz? Chodź, Kirk. Chodź...

- Melisso... - Kirk jęknął, a jego dłonie rozpoczęły wędrówkę po jej ciele, najpierw nieśmiało i ostrożnie, później coraz pewniej.

Każdy dotyk jego dłoni sprawiał Melissie niewysłowioną przyjemność. Jęczała, krzyczała i wzdychała na przemian. A kiedy Kirk rozpiął jej stanik od bikini i zaczął pieścić dłońmi i wargami jej jędrne piersi, miała wrażenie, że za chwilę stanie w ogniu.

Dłonie Kirka ześliznęły się po jej płaskim brzuchu aż na skraj majteczek. Na ułamek sekundy zawahał się, potem wsunął palce pod gumkę.

- Tak... - Melissa zamknęła oczy przygryzając dolną wargę. Kirk odetchnął głębiej i powoli zsunął majteczki, najpierw po

opalonych udach, potem niżej...

Melissa poczuła ciepło promieni słonecznych na swej skórze i gorący wzrok Kirka. Dziwne, w ogóle nie odczuwała wstydu. Jej nagość wydawała jej się całkiem naturalna.

- Jesteś piękna! - gładził aksamitną skórę jej ud i brązowe loki trójkąta nad nimi.

Melissa wydała z siebie głośny jęk. Czuła jego oddech na swej skórze i wiedziała, że jest tak samo podniecony jak ona i że pragnie jej równie gorąco jak ona jego. - Kirk... Kirk...

Nagle znaleźli się na piasku. - Ostrzegam cię! - dyszał Kirk wchodząc w nią z niezwykłą delikatnością.

Melissa wstrzymała oddech. Zrobiło jej się gorąco. Namiętność wybuchła w niej...!

Poczuła zawrót głowy. - Kirk! - zawołała zduszonym głosem.

Ruchy Kirka stawały się coraz szybsze i silniejsze. Ciężko oddychał.

Melissa dopasowała się do jego rytmu i nagle zalała ją gorąca fala rozkoszy, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła. - Kirk... - jęknęła. - Och, ja wariuję...

- Melisso!

Z dzikim krzykiem rozkoszy stawali się jedną osobą, jednym jedynym punktem we wszechświecie.

Melissa czuła się szczęśliwa, jak nigdy przedtem. Wydawało jej się, że sunie po niebie na miękkich chmurkach. Miała miłość Kirka i mogła zajmować się dziećmi w cudownym przedszkolu na wyspie z jej snów. Kręciło jej się w głowie od tego szczęścia.

O pierwszej zeszła do restauracji hotelowej. Czekali tam już na nią przy małym barze Kirk i Barry.

- O la la! - Barry gwizdnął cicho. - Wygląda pani tak, że chciało by się panią schrupać! - zauważył patrząc szyderczo na Kirka, który odwzajemnił mu się niechętnym spojrzeniem. - Nie uważasz, że nasza Melissa wygląda oszołamiająco? - spytał Barry niewinnie.

- Od kiedy zaczęłaś nazywać pannę Arnell „naszą Melissą”, jeśli wolno wiedzieć? - spytał Kirk naburmuszony.



Barry i Melissa spojrzeli na siebie i prawie jednocześnie wybuchnęli beztróskim śmiechem, który wkrótce zaraził i Kirka.

- Zgoda, wygraliście, a ja zachowałem się jak idiota - rzekł. - Oczywiście, nasza Melissa wygląda oszołamiająco - jak zawsze! - dodał uśmiechając się.

- Jeśli już wymieniliście uwagi na temat mojego wyglądu, to może byśmy poszli coś zjeść. Za chwilę padnę z głodu.

- Mogę to sobie wyobrazić - zabrał głos Kirk. - Tyle ruchu na świeżym powietrzu na pewno wzmacnia apetyt, nieprawdaż, Melisso?

Melissa wstrzymała się od odpowiedzi, a zamiast tego skierowała się do jednego z wolnych stolików. Kirk poszedł za nią.

- Ja nigdy nie narzekam na brak apetytu, jak wiecie. - Barry dołączył do nich. - Kirk powiedział mi, że chce pani wzbogacić naszą wyspę o nowego mieszkańca - spytał sadowiąc się przy stoliku.

- Tak, Barry, proszę sobie wyobrazić, że zostaję tutaj. Chociaż cały czas mam wrażenie, że śnię.

- Jak to dobrze, że niespodzianka się jeszcze udała! - roześmiał się Barry. - O mało nie zdradziłem pięknego planu Kirka, bo przecież wiedziałem o wszystkim. W porę jednak mi przerwał i nie wygadałem się.

- Aha, pamiętam, to było tego dnia, kiedy dostałam list z Hongkongu od Nedry.

- Szczęście, że uwagę miałaś zaprzątniętą czym innym. - Kirk ujął jej dłoń i uściskał ją. - Ale mimo to przedsięwzięcie było ryzykowne i pociełem się ze strachu, że cały mój wysiłek może okazać się niepotrzebny. Obawiałem się, że będę miał kłopot z przekonaniem ciebie, że twoje miejsce jest tu, przy mnie! - Kirk się uśmiechnął, a Melissa zaczerwieniła.

- Tym większy więc powód do radości! - Barry powiódł rozpromienionym wzrokiem po obecnych. - Wiecie, już się poważnie zastanawiam, czy by się nie zgłosić do przedszkola Melissy.

- Miałabym od razu z ciebie pomocnika. Wcale niezły pomysł.

- Zostaniesz tu, gdzie jesteś, przy swoim samolocie! - Kirk pogroził Barry'emu palcem.

Aby uczcić ten dzień, zamówili obiad z pięciu dań ze stosownymi winami. Barry, co prawda, musiał się, ku swemu ubolewaniu, zadowolić wodą mineralną, ponieważ po południu musiał bezpiecznie dolecieć do Papeete i z powrotem samolotem pełnym pasażerów.

Na miłej pogawędce i wesołym przekomarzaniu się czas upływał bardzo szybko. Po wystawnym obiedzie poprosili o kawę.

- Może pójdziemy jutro do wsi, żebyś poznała dzieci, którymi masz się opiekować? - spytał Kirk Melisse.

- Ależ tak, bardzo chętnie. Przy okazji zobaczę, co jeszcze jest potrzebne - nieśmiało spojrzała na Kirka. - Sporo tego będzie. Mam nadzieję, że nie zbankrutujesz.

- Tym się nie musisz martwić. Pieniądzy nie brakuje. Chcielibyśmy mieć dobrze wyposażone przedszkole, a nie jakąś prowizorkę. W końcu będzie je prowadzić dyplomowana przedszkolanka.

- Najlepsza, jaką mogliśmy znaleźć - zgodził się Barry. - I zazdroszczę tym dzieciakom, wierście lub nie...

## Rozdział 10

Komplet w ciepło żółtym kolorze, który Melissa miała na sobie tego dnia, dobrze pasował do jej beztroskiego, radosnego nastroju. Zarumieniona z przejęcia otworzyła drzwi Kirkowi, który właśnie zastukał do nich cichutko.

- Melisso! - objął ją i pocałował. - Hm, to mi przywraca siły witalne.

Melissa roześmiała się. - Wobec tego chodźmy, póki ich jeszcze nie straciłeś.

Wyciągnęli swoje rowery z szopy i popedałowali wąską drogą do wioski. Melissa rozmyślała o swojej przyszłości. Czy poradzi sobie z dziećmi? Czy one ją zaakceptują? Ją, obcą, która wyglądała inaczej niż oni? Musi wykazać trochę dobrej woli i cierpliwości, bo na, początku na pewno nie będzie jej łatwo. Uśmiechnęła się. Mając Kirka u swego boku była w stanie pokonać wszystkie trudności.

- O czym myślisz, Melisso?

- O dzieciach, które wkrótce poznam, o tobie i o szczęściu, które mi dałeś...

- A mnie kto przyniósł szczęście, jak myślisz? - Kirk uniósł się na siodełku i pochylił ku Melissie, żeby ją pocałować.

- Uwaga! - w ostatniej chwili Melissie udało się skrócić kierownicą w bok i uniknąć zderzenia z Kirkiem. - O mały włos! Żebyśmy sobie z tego szczęścia karków nie poskręcali.

- To by był dopiero kłopot! - Kirk wzniósł oczy ku niebu.

- Nie mógłbym sobie wprawdzie życzyć piękniejszej śmierci, ale wolę jednak dzielić życie i to szczęście z tobą.

Roześmiali się.

- Jesteśmy na miejscu! - Kirk zsiadł z roweru i podszedł do grupki bawiących się dzieci. - Maluchy codziennie przypatrywały się z zaciekawieniem mojej pracy przy budowie. - Odwrócił się do Melissy, która szła za nim z

pewnym ociąganiem. - A tak na marginesie, byłem zbyt leniwy, żeby się nauczyć francuskiego, więc wpoilem maluchom podstawy angielskiego. Chodź, przedstawię ci małą Nouri! - wskazał na dziewczynkę starszą trochę od pozostałych dzieci. - Nouri ma duży temperament, bywa też trochę agresywna.

Kirk skinął na dziecko. - Przywiozłem wam waszą nową przyjaciółkę i nauczycielkę.

Nouri podeszła z wahaniem bliżej. - Hallo! - rzekła, spojrziała przelotnie na Melissę i pobiegła z powrotem do dzieci.

Melissa obserwowała bawiące się dzieci, które uniosły główki i przyglądały się jej z zaciekawieniem. Wszystkie miały gęste włosy, lśniące tak, jakby je ktoś pomalował czarnym lakierem, taką samą, gładką jak aksamit cerę w kolorze ciemnego miodu i wyraziste ciemne oczy, tak charakterystyczne dla mieszkańców wysp południowego Pacyfiku.

Nagle dziewczynka podbiegła do Melissy i dotknęła rączką jej kolana.

- To jest Tara - wyjaśnił Kirk. - A to jest ta pani, o której wam tyle opowiadałem - zwrócił się do dziecka, ufnie spoglądającego na niego. - Nazywa się Melissa.

- Lissa - powtórzyła Tara. - Lissa...

Inne dzieci zaczęły też powtarzać chichocząc: Liss, Liss, Liss...

- To dopiero początek - roześmiał się Kirk. - Na pewno się jakoś dogadacie.

- Mam nadzieję - odrzekła Melissa.

Obiecując szybkie otwarcie przedszkola pożegnali się z dziećmi. Jeszcze długo machały im rączkami.

- Uzupełniłaś już listę zakupów? - spytał Kirk wychodząc po obiedzie z Melissa z jadalni.

- Mniej więcej. Spisałam wszystko, co mi się wydawało konieczne. Prawdę mówiąc, chciałabym uwzględnić też życzenia dzieci, ale poznam je pewnie dopiero po kilku tygodniach wspólnej pracy.

- Nie szkodzi. Zestawimy drugą listę. Czy nie trzeba ci jakichś osobistych rzeczy?

- Czego na przykład?

- Chodź ze mną. Może zrozumiesz, o co mi chodzi, gdy wejdiesz na schody! - otworzył drzwi w końcu korytarza, za którymi kryły się kręte schody.

Z pomocą Kirka Melissa znalazła się wkrótce na szczycie stromych schodów. - Dokąd mnie prowadzisz?

- Do mojego prywatnego królestwa - na moją wieżę. - Otworzył ciężkie drewniane drzwi. Oczom Melissy ukazał się okrągły, zalany światłem pokój. - Jesteś pierwszą kobietą, której pozwoliłem wejść do moich prywatnych komnat - zauważył z uśmiechem.

Melissa rozglądała się ze zdziwieniem. Naprzeciwko niej znajdował się przepiękny kominek z naturalnego kamienia. Na prawo ciągnął się masywny regał z drewna, zastawiony szczelnie książkami, na lewo, pod wielkim oknem, stało biurko i fotel.

Gruby dywan leżący na podłodze, miał kolor piasku, taki, jak kamienie, z których był zbudowany kominek. Przed kominkiem stały skórzane fotele w kolorze koniaku, a niski stolik pośrodku uzupełniał wystrój.

Był to pokój męczyzny, prosty i funkcjonalny, utrzymany w harmonijnej, naturalnej tonacji. Podobał się Melissie, gdyż urządzone bez zbytku, gwarantował jednak komfort.

- Chodź - Kirk pociągnął ją do okna. - Ten widok jest największą atrakcją mojego królestwa.

Melissa wyjrzała na dół i zaparło jej dech w piersiach. To było wspaniałe! Turkusowobłękitny ocean rozciągał się bez

końca przed jej oczami. Fale nieustrudzenie wybiegały na piasek zostawiając na nim wzory, by za chwilę powrócić i zmyć rysunek. Smukłe palmy wyciągały ku niebu soczystozielone wachlarze liści i kołysały się w łagodnej bryzie.

Kirk stanął za Melissa. Przyciągnął ją do siebie obejmując w talii. Poczła ciepło jego ciała i nagle obudziło się w niej pożądanie. - Kirk... - szepnęła.

- Melissa? - powoli odwrócił ją do siebie. Ich spojrzenia spotkały się, a wargi połączyły się w długim pocałunku.

Melissa zamknęła oczy. Świat zawirował, a czas się zatrzymał w miejscu. Jedyłą rzeczywistością był Kirk, bardzo podniecającą rzeczywistością. Czuła jego oddech na swej skórze. Pocałunki Kirka i dotyk jego dłoni rozpały w niej żar, który tylko on mógł ugasić.

Z głębokim westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję. Jej wargi rozchyliły się pod naporem ust Kirka, a gdy poczuła jego język, doznała wstrząsu, jakby raził ją prąd. Zadrżała.

W ciasnym uścisku osunęli się na dywan. Melissa na chwilę uwolniła się z objęć Kirka i zdjęła bluzkę, którą następnie rzuciła za siebie z cichym śmiechem. Pod spodem nie miała nic.

- Jakże jesteś piękna - Kirk zbliżył usta do różowych brodawek. Melissa z czułym uśmiechem położyła się z powrotem na dywanie,

poddając się dłoniom i wargom Kirka. Pochłonęło ją morze rozkoszy. Nie stawiała oporu, gdy Kirk zsunął jej spodnie i jedwabne majteczki. Kirk też się rozebrał i położył obok Melissy, patrzącej na niego pełnym pożądania wzrokiem.

Gładziła jego nagie muskularne ciało, a Kirk z widocznym zadowoleniem przyjmował jej pieszczoty. - Mój mały złocisty ptaszku... moja rusałko... pragnę cię...

- Tak... o, Kirk, Kirk...

Oboje szeptali bezładnie słowa miłości. Ich oddechy stały się szybkie i urywane, a ciała rozżarzyły się namiętnością i pożądaniem. Oboje dotarli do momentu, w którym życie koncentruje się na jednym tylko silnym doznaniu. Jednocześnie osiągnęli szczyt rozkoszy. Melissa krzyknęła głośno imię Kirka a jej paznokcie wbiły się kurczowo w jego plecy.

Wyczerpani miłością leżeli obok siebie oddychając ciężko. Kirk czule pogładził Melissę. - Było cudownie - szepnął przytulając policzek do jej twarzy.

Powoli i z trudem Melissa wracała do rzeczywistości. „Cudownie”, powiedział Kirk, ale to słowo nie oddawało całej prawdy. Melissa przeżyła coś niesamowitego, jakiegoś niezwykle doznanie szczęścia, coś, o czym nawet nie marzyła.

- Melissa? Zostaniesz ze mną? Na zawsze? Zbuduj tu swoje gniazdko, mój mały złocisty ptaszku, proszę!

Melissa nie musiała nic mówić. W jej oczach Kirk wyczytał odpowiedź.

- Jutro rano polecimy do Papeete i zobaczymy, czy może uda się tam kupić niektóre pozycje z twojej listy. No i od razu zamówimy resztę.

Kirk podniósł się i zaczął się ubierać. Melissa spojrzała na niego zmieszana. Nie mogła pojąć tej nagłej zmiany romantycznego kochanka w trzeźwego człowieka interesu. W końcu też wstała i założyła ubranie.

Ktoś zastukał do drzwi.

Melissa drgnęła przestraszona. Szybko zapięła ostatni guzik bluzeczki. Kirk podszedł do drzwi... i otworzył je.

- Ty? - uśmiechnął się na widok Barry'ego, który najwyraźniej zakłopotany, stanął w drzwiach.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem ci kłopot moim najściem - usprawiedliwił się - ale sądzę, że powinieneś się dowiedzieć... Odette... zniknęła bez śladu.

Kirk zmienił się na twarzy. W oczach pojawiły się przestroch i przerażenie.

- Jesteś pewien? - spytał z przymusem. - Od kogo masz tę informację?

- Ledwie wylądowałem, a już otoczyła mnie cała służba hotelowa. Wszyscy mówili naraz i zrozumiałem tylko tyle, że nikt dziś nie widział Odette. Ponieważ ciebie nie można było znaleźć, zwrócili się do mnie.

Melissa podeszła do okna. Przebiegł ją dreszcz. Co ta Odette znowu wymyśliła? Czy chce zwrócić na siebie uwagę w nadziei odciągnięcia Kirka od niej? Melissa zacisnęła usta i odwróciła się. - Odette zna tu każde drzewo i każdy krzak. Na pewno nie zabłądziła i ...

- Nikt nie mówi, że zabłądziła - zniknęła! - Kirk wszedł jej w słowo.

Melissa drgnęła. - Pewna jestem, że jej zniknięcie wyjaśni się niebawem - powiedziała próbując walczyć z uczuciem przygnębienia, które ją ogarnęło. Dlaczego Kirkowi zależało bardziej na Odette niż na kobiecie, którą dopiero co całował? Całował z miłością!

- A jeśli leży gdzieś ranna i czeka na pomoc? Nie mogę siedzieć beczynn timer, nie mogę tracić czasu. Wybacz, Melisso, ale muszę wiedzieć, co się stało z Odette! - wypadł z pokoju i pognął w dół po schodach...

Barry i Melissa spojrzeli na siebie w milczeniu. Barry chrząknął. - Zejdźmy na dół, Melisso, może będziemy mogli pomóc Kirkowi w poszukiwaniach.

- Tak, może... - ze spuszczoną głową wyszła za nim.

Kirk ją oszukał. Jego czułość była pozorna. To nieprawda, że nie było nic między nim a Odette. Kochał Odette. Zdradził



go wyraz twarzy. Melissa miała łzy w oczach. Dała się oszukać Kirkowi, mężczyźnie, który szukał przygody, romansu na kilka letnich tygodni. „Zbuduj tu swoje gniazdko, mały złocisty ptaszku”, powiedział. „Ale odleć, gdy nadejdzie pora”, zapomniał dodać.

Nie miała już złudzeń. Kirk bezwstydnie wykorzystał jej naiwność, brak doświadczenia i zaufanie, jakim go obdarzyła. Użył jej do swoich celów. Policzki płonęły jej z gniewu i wstydu.

- Naprawdę mi przykro, że musiałem wam przerwać to czułe sam na sam - Barry wyrwał ją z zamyślenia.

Melissa zerknęła na niego badawczo. Czy Barry kpił z niej? A może zamierzał z niej sztychować?

- Nie mogłem Kirka nigdzie wytropić i nie pozostało mi nic innego, jak zajrzeć do jego kryjówki. To, że panią tam zastałem, nawet mnie specjalnie nie zdziwiło. Kirk wygrał los na loterii, że panią zdobył. Chętnie bym się z nim zamienił! - westchnął. - Ale wszystko wskazuje na to, że będę musiał zadowolić się niewdzięczną rolą brata. Niestety.

Melissa uśmiechnęła się. Nie, Barry nie kpił sobie z niej, raczej chciał ją pocieszyć. - Ależ pan jest wymarzonym bratem, Barry. I w ogóle pana towarzystwo jest dla mnie w tej chwili najlepsze.

- Co prawda nie wierzę ani jednemu pani słowu, ale pochlebia mi to. - Nagle przestraszył się. - Co się dzieje, Melisso? Wygląda pani na bardzo zmartwioną.

Melissa odetchnęła głębiej i rzekła prostując się: - Dlaczego nie miałabym panu tego powiedzieć? To już koniec. Byłam dość głupia, żeby dać się zwieść jego kłamstwom. Chętnie uwierzyłam, gdy zapewniał, że Odette nic dla niego nie znaczy. Ale dziś już nie mógł tego się wyprzeć. Wiadomość o zniknięciu Odette usłyszał nieoczekiwanie, nie był przygotowany i dlatego nie zdążył ukryć swych

prawdziwych uczuć. Strach o Odette miał wyraźnie wypisany na twarzy.

Barry odpowiedział dopiero po namyśle. - Ja też zauważyłem jego niepokój. To nie ulega wątpliwości. Ale musi pani wiedzieć, że Kirk jest człowiekiem o bardzo dużym poczuciu odpowiedzialności. Pomoże każdemu, kto potrzebuje pomocy, nie zastanawiając się, tylko działając. Zobaczy pani, że kiedy Odette się znajdzie wszystko będzie tak, jak przedtem.

Melissa pokręciła głową ze smutkiem. - Nie, Barry, nic już nie będzie takie, jak przedtem. Kirk nie był szczery. Udawał przede mną. Powinnam była uwierzyć Odette...

- Niech pani nie działa pochopnie, Melisso. Niech pani zaufa Kirkowi. Proszę mi wierzyć, znam go od lat. Jego i Odette łączą tylko interesy. Ale Odette nie chce tego przyjąć do wiadomości i próbuje zdobyć Kirka wszelkimi możliwymi środkami. Bezskutecznie. Proszę mi wierzyć, Melisso, wyrządza pani Kirkowi krzywdę.

Melissa milczała.

- Niech pani da mu szansę, Melisso!

- Przecież to nie ma sensu, Barry. To już koniec. Jutro odleczę razem z panem. Nie mogę tu zostać, bo wszystko przypominałoby mi moją życiową pomyłkę. Nie, Barry, nie znajdę na tej wyspie szczęścia.

- Melissa! - Barry objął ją łagodnie. - Pani słowa sprawiają mi ból, choć pogodziłem się z rolą brata. Ale jestem także pani przyjacielem i zawsze może pani na mnie liczyć. Proszę o tym pamiętać - pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Och, Barry, jest mi pan bratem i przyjacielem i nie wiem, co bym bez pana zrobiła...

- Gdyby pani wiedziała, jak mnie cieszą i jak bolą jednocześnie te słowa. Jest pani okrutnym aniołem! - zrobił zmartwioną minę, ale w oczach tańczyły zdradzieckie iskierki.

- Dobranoc, Barry i bardzo dziękuję za wszystko! - zmęczony uśmiech rozjaśnił na ułamek sekundy rysy jej twarzy.

## Rozdział 11

Następnego ranka świat wydał się Melissie ponury i szary mimo jasnego słońca na niebie. Przypomniała sobie z udreką każdy szczegół wczorajszego dnia. Czy nagłe zniknięcie Odette wyjaśniło się przez ten czas? Ale co ją to obchodziło? Odette osiągnęła swój cel - rywalka ustąpiła jej pola.

Zgnębiona spojrzała na walizki, które stały już spakowane przy drzwiach. Jeszcze tylko kilka godzin dzieliło ją od opuszczenia tej wyspy. Nigdy tu już nie wróci...

Podniosła się z łóżka, poszła do łazienki, gdzie wzięła prysznic. Potem ubrała się. Jeszcze wczoraj wyobrażała sobie, jakie cudowne będzie jej życie w tym ziemskim raju u boku Kirka... Przez pewien czas wierzyła, że znalazła tu swój dom, kochała i była kochaną, pragnęła i była obiektem pożądania. I nagle wszystkie jej plany legły w gruzach, zniszczono jej szczęście, odebrano jej miłość.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Melissa siedziała jak sparaliżowana. Nie zniosłaby teraz widoku Kirka.

Stukanie rozległo się po raz drugi. - Melissa? Tu Barry. - Melissa podbiegła do drzwi i otworzyła je.

- Pomyślałem, że może przyda się pani towarzystwo przy stole. Śniadanie będzie wtedy lepiej smakowało.

- Ja... tak, naturalnie. Dziękuję, że się pan poświęcił dla mnie.

- Ależ to żadne poświęcenie. Cenię sobie towarzystwo młodych atrakcyjnych kobiet, a zwłaszcza pewnej smukłej złotowłosej istoty! - słowom Barry'ego towarzyszył rozbijający uśmiech.

Melissa uśmiechnęła się też mimo woli.

Na widok spakowanych walizek Barry zmarszczył czoło. - A więc nie rozmyśliła się pani!

- Nie, Barry! - Melissa pokręcił przecząco głową. - Moja decyzja jest nieodwołalna, lecę z panem.

- Wobec tego od razu zaniósę walizki do samolotu - rzekł Barry.

- Dziękuję, naprawdę jest pan dla mnie jak brat.

- Niestety, niestety. Spotkamy się w ogrodzie.

Podczas śniadania Melissa wielokrotnie przyłapała się na tym, że rozgląda się za Kirkiem. Ale nie widziała go nigdzie.

Czyżby przez całą noc szukał Odette? Znalazł ją i był teraz u niej?

- Nie ma śladu po Odette - zauważył Barry, jakby czytając w myślach Melissy. - Kirk szukał jej całą noc, bez rezultatu. - Barry podniósł się. - Niestety, muszę teraz zostawić panią samą i zająć się innymi pasażerami. Poczekam na panią przy samolocie.

- Dobrze. Dobrze, pójdę tylko po torebkę, oddam klucze i zapłacę rachunek. Przyjdę za kilka minut.

Gdy mały samolot wzbił się w lazurowe przestworza, Melissie napłynęły łzy do oczu. Rzuciła ostatnie spojrzenie na wyspę, na której jej sen o szczęściu zmienił się w koszmar gorzkiego bólu i rozczarowania. Poczula skurcz serca. Gwałtownie odwróciła wzrok i skierowała go na białe obłoki, które zresztą szybko zasłoniły Wyspę Szczęścia. Niebiosa ulitowały się nad nią i ułatwiły pożegnanie.

- Jeśli nadal trwa pani w zamiarze powrotu do Kalifornii, to kupię pani bilet i zarezerwuję miejsce na następny lot - Barry, jak zwykle, był chętny do pomocy. - Jeśli dziś nie będzie lotu, czy mam bukować na jutro?

- Im szybciej stąd odlecę, tym lepiej. Ale oczywiście muszę się dostosować do rozkładu lotów.

- Czy na wypadek, gdyby dziś rzeczywiście nie było samolotu, mam pani załatwić nocleg?

- Co ja bym zrobiła bez pana, Barry? Jest pan prawdziwym skarbem! - Melissa obdarzyła go wdzięcznym

uśmiechem. - Tak, może się znajdzie jakiś wolny pokój w hotelu.

Nieobecność Barry'ego nie trwała długo. - Przykro mi, ale następny lot jest dopiero o ósmej rano. To okazja dla pani, żeby jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję - i zmienić zdanie.

- Niech pan na to nie Uczy.

- Nie mogę mieć nadziei? Aha, pokój też jest, tu, w hotelu Maeva Beach.

- Dziękuję, Barry. Tak się pan o mnie troszczy...

- To tylko braterska troska. Proszę, tu jest klucz, droga siostrzyczko.

Melissa roześmiała się, gdy z głębokim ukłonem wręczył jej klucz.

- Pokój znajduje się na trzecim piętrze. - Barry wziął walizki i poszli do windy. Milcząc wjechali na górę. - Tu, zaraz na prawo.

Weszli do jasnego, ładnie urządzonego pokoju. Za przeszklonymi drzwiami znajdował się balkon, z którego roztaczał się piękny widok na morze. Barry wskazał palcem stół i dwa krzesła stojące na balkonie. - Jeśli zaprosi mnie pani później na pół godziny do siebie, to zafunduję nam coś do jedzenia.

- Niezły pomysł. Zgadza się.

- A więc wrócę tu później. Teraz jeszcze muszę załatwić kilka spraw w mieście i zostawię panią samą. Niech pani zapomni, że się wprosiłem!

Po odejściu Barry'ego Melissa zapatrzyła się na ocean. Widok był wspaniały, ale mimo to, a może właśnie dlatego, wkrótce weszła do środka. Niespokojnie chodziła po pokoju tam i z powrotem. Wyszła więc w ogóle stamtąd i zjechała na dół. Przekartkowała czasopisma wyłożone w holu. Nie, nie mogła się skupić na lekturze. Wyszła na ulicę i skierowała się na plażę.

Nie opuszczała jej myśl o Kirku. Wspomnienia, jak nieproszeni goście zagnieździły się w głowie i nie udawało się ich przepędzić. Co kilka minut spoglądała na zegarek, ale do południa było jeszcze dużo czasu. Czas dłużył się w nieskończoność. Zdenerwowana wróciła znowu do pokoju hotelowego.

Gdy Barry wreszcie wrócił, a wydawało jej się, że trwa to całą wieczność, odczuła taką ulgę, że o mało nie rzuciła mu się na szyję.

- Myślałam, że już pan nie wróci! - powiedziała jakby z wyrzutem i wyprowadziła go na balkon.

Barry odstawił na stolik torby, które trzymał pod pachą.

- Mam nowiny, które panią zadziwią, Melisso! - Barry wypakował dwa podwójne hamburgery i podsunął jeden Melissie. - Niech pani będzie grzeczną dziewczynką i najpierw coś zje. Postarałem się również o napoje, żebyśmy nie dostali czkawki - z drugiej torby wyjął dwie butelki coli i postawił na stole. - Proszę! - prosto z lodu. A teraz moje nowiny. Nie uwierzy mi pani, ale przed godziną widziałem się z Odette.

- Ona jest tutaj, w Papeete?

- Tak. Mieszka w domu swego kuzyna. Przypomina pani sobie tego młodego policjanta, którego ściągnęła wtedy na wyspę!

- Tak, pamiętam tego mężczyznę.

- Pytałem o niego w komisariacie, ale miał dzisiaj wolne. Dano mi jego adres. Od razu tam poszedłem. Tak! I tam właśnie znalazłem Odette. Odziana w skąpe bikini przeciągała się na kanapie. Cześć, Odette, dawno się nie widzieliśmy, powiedziałem... I zrelacjonowałem Melissie dokładnie przebieg spotkania:

- Co ty tu robisz? - Odette drgnęła i spojrzała na niego ze złością.

- O to samo mógłbym cię spytać - odparł.  
- To wyłącznie moja sprawa.  
- Ależ ty masz nerwy! Wszyscy cię szukają. Cała wyspa jest postawiona na nogi. Wszyscy się martwią, że mogło ci się coś złego przytrafić.

- Kirk też?  
- Oczywiście. On także cię szukał. Ale nie przypuszczam, żeby wykazał zrozumienie dla tej eskapady.

- Jakby mi na tym zależało! - wybuchnęła śmiechem. - I tak już nie wrócę. Nigdy! Nigdy! Wracaj do swojego przyjaciela. Już on się przekona, co stracił, przedkładając tę blond dziewczynę nade mnie. Zobaczysz, wkrótce dotrze do niego ta przykra prawda, że ona wcale nie jest lepsza ode mnie. Ja już nie mam powodu, żeby tam wracać. No, a teraz zmywaj się stąd!

Barry popatrzył na Melisę. - Teraz widzi pani, jak niesprawiedliwie oceniła pani Kirka?

Milczała przez chwilę. - Ale szukał Odette!

- Postąpiłby tak samo, gdyby chodziło o kogoś innego z personelu czy gości i pani o tym wie, Melisso.

Melissa nie odpowiedziała.

- Ależ Melisso, niechże się pani opamięta. Kirk kocha panią, a Odette już nie wróci.

- Nie wiem, co by to miało zmienić.

Barry zmarszczył czoło zirytowany. - A więc dobrze, uparciuchu. Niech pani odjeżdża! - wstał z krzesła. - Gdyby miała pani jeszcze zmienić zdanie, proszę przyjść na lotnisko. Na wszelki wypadek zarezerwuję dla pani miejsce.

- Nie, dziękuję. Nie zmienię już decyzji. Dziękuję za pomoc, Barry i za pana przyjaźń. Zawsze będę o panu pamiętać.



- I ja o pani, Melisso. Lubię panią, chociaż taki przekorny z pani dzieciak - Barry pocałował ją w policzek. - Powodzenia, Melisso. Życzę pani wszystkiego dobrego!

- Adieu, Barry! - łzy przesłoniły jej wzrok.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Melissa z trudem otworzyła oczy i zdziwiona rozejrzała się dookoła. Gdzie była? Do drzwi zapukano jeszcze raz głośniejszym głosem. Melissa usiadła i przypomniała sobie, że jest w hotelu w Papeete. Kto mógł chcieć czegokolwiek od niej? Barry? Rzuciła wzrokiem na zegarek. To nie mógł być Barry. Pożegnał się z nią przed dwiema godzinami. Próbowwała uporządkować myśli. Nie знаła nikogo w Papeete. Nikogo poza Odette. Czy to Odette chciała z nią rozmawiać? Czy to ona stała pod drzwiami? Wstała ociągając się, podeszła do drzwi i otworzyła.

W drzwiach stał Kirk.

Melissa osłupiała. Niezdolna się poruszyć ani wykrztusić słowa stała jak sparaliżowana i tylko patrzyła na niego.

- Melissa - powiedział Kirk z przymusem. - Melissa, dlaczego? Milczała. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, a świat zawirował przed oczami.

- Nie chciałem uwierzyć Barry'emu, ale przyjechałem tutaj. Ze strachu, że pojedziesz, zanim porozmawiamy. Przepraszam, że zjawiam się przed tobą nieogolony, spocony i brudny.

- Byłeś u Odette? - spytała cicho.

- Czego miałbym u niej szukać? Naprawdę, nie myślałem chwilowo o spotkaniu z nią.

- Ach, chwilowo? No, to może później, co? - przełknęła głośno. Mimo zapewnień Barry'ego, że Kirk w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowany Odette, znowu zaczęła w to wątpić. Nie mogła już zaczynać od nowa, nie była w stanie znowu obdarzyć Kirka zaufaniem i miłością. Nie przeżyłaby kolejnego rozczarowania.

- W końcu nie chodzi o życie w trójkącie, nie uważasz? -  
Melissa była bliska łez.

- O czym ty mówisz, Melisso? Jak możesz myśleć, że Odette coś dla mnie znaczy? Nigdy jej nie kochałem i nigdy nie pokocham.

- Twoje zachowanie wskazuje na coś wręcz przeciwnego. Nie sądzisz chyba, że jestem ślepa lub tak głupia, że tego nie dostrzegam!

- Mogę tylko powtórzyć, że jesteś w błędzie. Proszę cię, wróć. Melissa potrząsnęła głową. - Nie, Kirk. Mam dosyć ciebie i twojej

tak zwanej „Wyspy Szczęścia”!

- Jak chcesz! - z tymi słowami Kirk obrócił się na pięcie i wszedł do windy, której automatyczne drzwi zaraz się za nim zamknęły.

Melissa wróciła do łóżka i rozszlochała się na dobre. Jak okrutne może być życie. Co za smutny, bolesny koniec cudownej miłości.

Tego wieczora Melissa zasnęła bardzo późno, a następnego ranka stwierdziła, że sen nie złagodził tego tępego bólu, z którym zasypiała. Było jej ciężko na sercu i najchętniej zaszyłaby się w jakiś kąt i cierpiała po cichu. W tym momencie pragnęła tylko, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu rodziców i zapomnieć o wszystkim, co się wiązało z Kirkiem.

Samolot oderwał się od ziemi i wziął kurs na San Francisco. Melissa rozpięła pasy. Powoli opuszczało ją napięcie. Wyjrzała przez okno. Głęboko w dole rozciągał się czarowny błękit południowego Pacyfiku. Wyspa Szczęścia stała się tylko małą plamką na niezmierzonej powierzchni wody, później punktem, aż w końcu znikła. Melissa oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

Obudziła się dopiero wtedy, gdy głos pilota wezwał pasażerów do zapięcia pasów i zgaszenia papierosów.

- Za kilka minut wylądujemy w San Francisco - dotarło do niej. Zapięła pasy. Uśmiechnęła się, gdy samolot wylądował. Zaledwie kilka kilometrów dzieliło ją od domu jej ojca w Berkeley.

Nedra i Clive przyjęli ją serdecznie ciesząc się z jej przyjazdu. Wiedziała, że ma w nich przyjaciół, ale mimo to nie czuła się szczęśliwa.

Dni mijały, jeden podobny do drugiego. Nie działo się nic, co dałoby jej trochę radości lub przywróciło dawną energię. Nie miała ochoty na nic, nudziło ją wszystko, do czego by się nie zabrała.

- Jej myśli ciągle były przy Kirku. Raz czuła do niego miłość, raz nienawiść. To co się stało, już się nie odstanie. Nie może dręczyć się w nieskończoność i żałować utraconego szczęścia.

- Co byś powiedziała na kilkutygodniowy pobyt w naszym domku w Carmelu? - zaproponowała Nedra któregoś dnia. - Może tam odnajdziesz się w naszym świecie i uporasz się ze swymi problemami.

Melissa spojrzała na nią. - Może to nie taki zły pomysł. Tak... Można by spróbować.

- No pewnie! - Nedra rozpromieniła się. - Thompsonom z sąsiedniego domku urodziło się trzecie dziecko. Delma jest tak zajęta niemowlęciem, że na pewno będzie zadowolona, gdy przez kilka godzin ktoś zajmie się starszą dwójką. Chyba byłoby to dla ciebie dobre doświadczenie zważywszy twoje plany na przyszłość, prawda?

- Hm! - Melissa jakoś nie podzielała zapału Nedry. Ale, rzeczywiście, czemu nie miałyby pojechać do Carmelu? Tak, pojedzie tam. Nedra miała rację. Może odnajdzie wewnętrzną

równowagę w starej dacy rodziców, gdzie mieszkało tyle pięknych wspomnień.

Ten dzień minął szybciej od innych. Zrobiła przegląd samochodu, zatankowała benzynę, zrobiła zakupy. Jej nastrój widocznie się poprawił. Nagle miała znów jakiś cel. - Carmelu, przybywam! - powiedziała głośno, zatrzymując samochód przed domem.

Nedra była w ogrodzie. Układała bukiet z zerwanych właśnie bratków. Gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi od samochodu, podniosła głowę. - Hallo, Lissa. No, jak ci minął dzień?

- Całkiem przyjemnie. Spodobała mi się twoja propozycja i wyjeżdżam do Carmelu. Jutro wczesnym rankiem.

- To mnie cieszy, Lisso. A gdybyś poczuła się samotna, wystarczy zadzwonić i przyjedziemy do ciebie.

Melissa uśmiechnęła się. - Dziękuję, Nedro. Ty i Clive jesteście bardzo mili. Chyba sobie na to nie zasłużyłam!

- Po prostu bardzo cię lubimy i to wszystko.

- Uważaj na siebie, Lisso. Do widzenia! - Nedra objęła Melissę. - Życzę ci, żebyś dobrze odpoczęła w Carmelu.

- Dzięki, Nedra. Zadzwonię! Do widzenia! - Melissa wsiadła do swego samochodu i pomachawszy na pożegnanie ręką, odjechała.

Pamiętała dobrze krętą drogę przez góry koło Santa Cruz, którą często jeździła z rodzicami. Lubiała ten krajobraz.

Odkręciła boczną szybę w samochodzie i wdychała cierpki zapach pinii, który miał na nią dziwne działanie - uspokajające i ożywcze zarazem. Tak, ta decyzja była dobra. Domek w Carmelu był częścią jej dzieciństwa, tam się czuła bezpiecznie i pewnie, tam w znajomej okolicy, zapomni i wróci do siebie.

Z głównej drogi skręciła w boczną, prowadzącą do rodzinnego domku. Rodzina? Czy miała jakąś rodzinę? Po śmierci rodziców została sama. Nie miała żadnych krewnych.

Nedra i Clive byli jedynymi bliskimi jej ludźmi. Ale przecież nie byli jej rodziną.

Chociaż Nedra i Clive bardzo się starali, żeby tego nie odczuła, to i tak miała wrażenie, że jest przy nich piątym kołem u wozu. Pokręciła wolno głową. Nie, rodzina istniała tylko we wspomnieniach.

Zatrzymała się i wysiadła z wozu. Piasek i suche igły pinii zatrzeszczały pod jej nogami. Westchnęła zadowolona. Tu było jej dobrze.

- Zobaczyliśmy twoje auto! - zatrąbił dziecinny głosik za plecami Melissy. - Twoje auto - jak echo powtórzył drugi.

Melissa drgnęła, odwróciła się i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Robie, Betsy! Hallo! Aleście mnie przestraszyli. Co słyhać? Betsy zrobiła poważną minę. - Mamy dzidziusia – zawiadomiła z dumą.

- Och, to cudownie!

- Chcesz może zobaczyć naszą siostrzyczkę? - Robie złapał ją za rękaw. - No, to chodź.

Melissa roześmiała się z niecierpliwości dzieci, które aż się paliły, żeby pokazać „swego” dzidziusia. - Troszkę później, dzieciaki! - uspokoiła ich. - Najpierw muszę wypakować rzeczy. Jak tylko to zrobię, biegnę do was, zgoda?

Dzieci pokiwały główkami. - Powiemy mamie, że przyjechałaś.

- Pobiegly do domu!

Melissa patrzyła za nimi z uśmiechem.

- Liss! Gotowa jesteś, Liss?

- Gotowa, Liss?

Melissa spojrzała na zegarek. Minęło pół godziny od kiedy wniosła bagaże do domku.

- Przyszliśmy po ciebie! - zawołał Robie.

- Zobaczyć dzidziusia! - uzupełniła młodsza Betsy.

Melissa wyszła na dwór. Najlepiej pójdzie od razu. Nie dadzą jej przecież spokoju, dopóki nie zobaczy ich małej siostrzyczki. - No, dobrze, to chodźmy we trójkę do was.

- Tak, Tak! - dzieciaki pobiegły przodem, żeby zawiadomić wszystkich o gościu.

Delma Thompson wyszła przed drzwi z niemowlęciem na ręku.

- Witaj, Melisso! - uśmiechnęła się ciepło. - Dobrze, że znowu przyjechałaś. Dzieciaki zupełnie potraciły głowy. Pękają wprost z niecierpliwości, żeby ci przedstawić nowego członka rodziny.

- Tu. Tu jest! Nasza mała Kathlin! - krzyknęły dzieci jakby na dany sygnał.

Melissa roześmiała się. - Dzień dobry, Delmo. Jakiego ślicznego dzidziusia macie! - pogładziła złociste loczki okalające okrągłą twarzyczkę.

- Czy mogłabyś ją nakarmić buteleczką. Powinnaś się już wprawiać! - Przerażony wzrok Melissy rozbawił ją. - Jesteś już w wieku akurat odpowiednim na pierwsze dziecko.

Melissa poczuła, że palą ją policzki. Czy będzie kiedyś miała dziecko? Przed oczami stanął jej obraz słodkiego maleństwa z czarnymi loczkami takimi, jakie miał Kirk.

- Wasza mała Kathlin wygląda jak królewna z bajki. Możecie być z niej dumni.

Dzieci rozpromieniły się. Betsy wyciągnęła rączkę i dotknęła ostrożnie małych paluszków niemowlęcia.

Robie przyglądał się temu sceptycznie. - Tylko nie zrób jej krzywdy - ostrzegł.

Delma i Melissa wymieniły ukradkiem spojrzenia i uśmiechnęły się.

- Jadę na zakupy. Może coś chcesz przy okazji? - spytała Melissa.

- Nie, dziękuję. Dałam Glenowi listę i miał załatwić zakupy po drodze do domu.

- A możemy pójść na plażę? Kąpać się? - przerwał Robie.

- Plażę! Kąpać się! - poparła go Betsy z poważną miną. Obie kobiety roześmiały się głośno. - Może jutro pójdziemy wszyscy razem? - zaproponowała Delma.

- Oj. Tak! Tak, Melisso? - dzieci przestępowały podniecone z nogi na nogę.

- A ja mam inną propozycję, jeśli wasza mama się zgodzi.

- Mamo, zgódź się, zgódź się, proszę cię.

- Ale może najpierw posłuchacie, o co chodzi, zanim będziecie prosić mamę o zgodę? - Melissa, była wyraźnie ubawiona.

- Okay - Betsy spojrzała wyczekująco na Melisę.

- Czy pamiętasz, jak opowiadałam tobie i Glenowi jeszcze przed dyplomem, że chcę założyć przedszkole?

- Tak, miałaś w sobie wtedy dużo entuzjazmu. - I dzisiaj też go mam. Mam zamiar szybko zrealizować ten plan.

Dlatego chętnie bym poćwiczyła z twoimi dziećmi.

- Co rozumiesz przez „ćwiczenia”?

- Pokazałabym im, jak się obchodzić z pędzlem i farbami, tańczylibyśmy, śpiewali, bawili się i robili wszystko, co by dzieciom sprawiało radość!

Delma przytaknęła. - Chwilowo jestem tak zajęta maleństwem, że nawet miałam wyrzuty sumienia w stosunku do starszych dzieci, że je zaniedbuję.

- A więc byłoby to korzystne dla wszystkich!

- Czy będziemy malować kolorowe obrazki? - Robie zrobił okrągłe oczy.

- Betsy też obrazki? - Naturalnie.

Dzieci spojrzały z nadzieją na matkę.

- Zgoda, od jutra chodźcie do cioci Melissy do przedszkola.

Już cały tydzień dzieci przychodziły codziennie przed południem do Melissy. Ich nieustanny zachwyt i zapał dodawały Melissie odwagi i umacniały ją w jej planach. Często przyłapywała się na tym, że myśli o dzieciach z Wyspy Szczęścia. Jak Kirk im wyjaśnił, że Melissa do nich nie wróci? Czy były rozczarowane, czy też nie miało to dla nich żadnego znaczenia?

Rozmyślanie o Kirku nadal sprawiało jej ból. Czy to możliwe, że jednak się pomyliła? Że niesprawiedliwie oceniła Kirka tak, jak jej to zarzucał Barry? Chyba nie. Niepokój Kirka był zbyt wyraźny, i jakby zbyt autentyczny gdy usłyszał o zniknięciu Odette?

Powoli dojrzewała w niej decyzja, żeby opuścić Carmel i rozejrzeć się w Berkeley za jakimś domem, który mogłaby kupić ze spadku po ojcu i urządzić w nim przedszkole. Któregoś dnia odwiedziła Delmę i rozmawiały na ten temat.

- Będzie nam ciebie brakowało, Melisso - Delma westchnęła.

- Robie i Betsy będą niepokieszeni, gdy ich „ciocia Melissa” odjedzie. Na pewno nie chcesz zostać?

- Nie. Już najwyższy czas, żebym stanęła na własnych nogach i poszukała sobie celu w życiu. Położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Nie zrozum mnie źle, Delmo. Bardzo lubię twoje dzieci i praca z nimi sprawia mi dużą radość, ale jest to w tej chwili bardziej hobby niż praca.

- Tak, tak, rozumiem, co masz na myśli. Szkoda, Melisso. Chętnie byśmy cię zatrzymali. Dużo dla nas zrobiłaś, dla mnie i dla dzieci. Dziękuję ci za to z całego serca! - Delma objęła Melissę. - I życzę ci wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że niedługo znajdziesz... szczęście!



## Rozdział 12

Nad Carmelem leżała gęsta mgła. Snując się leniwie zmieniała kształty domów i drzew w baśniowe fantasmagorie.

- Hallo! Czy to pani, Melisso?

Melissa, która właśnie otwierała drzwi auta, odwróciła się. Jakaś postać zbliżała się do niej szybkim krokiem.'

- Barry. Jak pan tu trafił?

- Harcerz ma drogę na końcu języka - roześmiał się widząc jej pełen niedowierzania wzrok. - Ale tak naprawdę, to drogę opisała mi Nedra.

- Nie umiem powiedzieć, jak bardzo się cieszę, Barry! Ale za kilka minut już by mnie pan tu nie zastał. Właśnie miałam odjeżdżać.

- A więc zbieg okoliczności - Barry podszedł bliżej i objął Melissę serdecznie. - A może powinienem powiedzieć „szczęśliwy zbieg okoliczności"! Cieszę się, że panią... ach, do diabła z tą „panią"! Cieszę się, że cię widzę, Melisso!

- Brakowało mi ciebie, Barry - odrzekła z uśmiechem.

- A Kirk? Czy jego też ci brakowało? Melissa spuściła głowę i milczała.

- Kirk jest zrozpaczony. Nigdy go nie widziałem w takim stanie! - Barry zatrzymał się na chwilę. - Jak co roku odwiedzam rodzinę. No i właśnie pomyślałem sobie, że mała wycieczka do Berkeley może być całkiem przyjemna. Pożyczyłem więc samochód od mamy i popędziłem do was. No i jestem tu, u dziewczyny moich marzeń, na którą mogę patrzeć wyłącznie jak brat. Niestety, Niestety! - westchnął głęboko.

- Mój biedny Barry. To wspaniale, że przyjechałeś! - Melissa pocałowała go w policzek.

- Czy mogę coś powiedzieć?... Jestem okropnie głodny.

- Znajdziemy na to radę - Melissa roześmiała się. - W miasteczku jest mała przytulna restauracyjka, gdzie serwują proste, ale smaczne dania.

- No, to wspaniale, jedziemy! - złapał Melissę za rękę i poprowadził do swego samochodu. - Właź!

Barry skoncentrowany prowadził samochód przez gęstą mgłę.

- Dlaczego opuściłaś Kirka? - spytał. - Przecież go kochasz.

Kurczowo zacisnęła dłonie. - W sercu mężczyzny jest miejsce dla jednej tylko kobiety. W przypadku Kirka jest nią Odette.

- Ależ to bzdura! Doskonale o tym wiesz! Jesteś tylko zbyt uparta, żeby się do tego przyznać! Melisso, obudź się! Niszczysz swoje życie - i nie tylko swoje. Unieszczęśliwiasz siebie i Kirka!

- Czy... to Kirk cię przysłał?

Barry pokręcił przecząco głową. - O, nie. Kirk jest zbyt dumny. Uważa, że ty go nie kochasz. To, co powiedziałaś mu tego wieczora w Papeete, głęboko go dotknęło. Nigdy o tym nie mówi, ale nie może tego przeboleć. Znam go długo i widzę, że bardzo cierpi.

Melissa wpatrywała się w mgłę. - Już jesteśmy - rzekła cicho. - Tam, po prawej stronie ulicy jest ta knajpka.

- Naprawdę chcesz jeszcze dzisiaj pojechać do Berkeley? - spytał Barry, gdy już zaspokoił głód olbrzymim stekiem, ziemniakami z folii i sałata.

- Moje rzeczy są już w aucie.

Barry popatrzył na nią z namysłem. - Melisso... - zaczął z pewnym wahaniem. - Czy nie pojechałabyś ze mną, z powrotem na Wyspę Szczęścia?

- Nie - odrzekła nie patrząc w jego stronę.

- Myślę, że popełniasz duży błąd. Kirk jest załamany. Został z niego cień człowieka. Żebyś ty go zobaczyła!

- Odpowiedź brzmi „nie”, Barry! - Melissa zamknęła na chwilę oczy. Wygląda na to, że niedługo przedrze się przez mgłę słońce - zauważył Barry wyglądając przez okno. - Najlepiej będzie, jeśli wyruszymy jak najszybciej.

Późnym popołudniem dotarli do Berkeley. Mgła już ustąpiła i światło słońca zalało domy i ulice malując je łagodnym złotym kolorem. Zaparkowali samochody i wysiedli.

- Witamy w domu Arnellów! - zawołał Barry do Melissy. - O, przepraszam, naturalnie w domu Kensingtonów. Serce skurczyło się jej boleśnie. Czuła się jak liść zerwany przez wiatr i wirujący w powietrzu.

Drzwi się otworzyły. - No, jesteście! Cieszę się, że zajechaliście cali i zdrowi. Z powodu tej strasznej mgły nie widać było nawet własnej ręki.

- Barry przecierał szlak, a ja tylko za nim jechałam. - Melissa objęła Nedrę. - Dobrze mi zrobił ten pobyt w Carmelu.

W tym momencie przed drzwiami pojawił się Clive. - Gość w dom, Bóg w dom. Dobrze, że już jesteście - powiedział i poklepał Barry'ego po plecach. - Już się cieszę na prawdziwie męską rozmowę - rzekł mrugając okiem. - Z Nedrą można co prawda porozmawiać o brydżu, ale o baseballu nie ma zielonego pojęcia.

- Postaram się wyrównać ten deficyt - obiecał Barry ze śmiechem.

- No, jeśli rzeczywiście zna się pan na baseballu, to proszę zatrzymać się u nas na dłużej.

- Mnie by to też pasowało! - odezwała się Melissa. - Barry mógłby pomóc mi w znalezieniu odpowiedniego kawałka gruntu. Nie udało mi się to dotychczas.

- Mam nadzieję, że nie oczekujecie ode mnie cudów, bo szybciej stanę się bezdomny, niż znajdę tu nocleg.

- Dajcie mi kluczyki od waszych samochodów, to wniosę bagaże a wy się tymczasem odświeżycie przed jedzeniem - zaproponował Clive.

- Dziękuję, Clive, to miło z twojej strony! - Melissa wręczyła mu kluczyki.

- Niech się pan nie trudzi - bronił się Barry. - Mam ze sobą tylko niewielką torbę i wezmę ją od razu do domu.

- Wszystko jasne. Za kwadrans spotykamy się przy stole. Clive poszedł do małego auta Melissy a pozostała trójka zniknęła w głębi domu.

Melissa nie pamiętała, kiedy po raz ostatni czuła się tak beztrosko i pogodnie jak tego wieczoru. Obecność Barry'ego zdawała się jej przywracać część dawnej energii. W nocy spała dobrze i następnego ranka „zapałała żądzą czynu”.

Barry był już w kuchni i zajmował się czytaniem prasowych anonsów. Podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Barry.

- Dzień dobry, piękna pani. Podkreśliłem już te ogłoszenia, które wchodziły w grę - pokazał jej gazetę. - Gdzie już szukałaś?

- Wszędzie w najbliższej okolicy. - Melissa naląła sobie kawy i usiadła obok Barry'ego.

- To może powinniśmy spróbować na północ od campusa. Melissa kiwnęła głową. - To bardzo ładna dzielnica. Potrzebny mi jest dom z co najmniej dwoma pomieszczeniami, a do tego ogrodzony ogród lub podwórko.

- Czy władze stanowe zgłaszają jakieś wymagania?

- Całe mnóstwo. Jeśli ich nie spełnię, nie dostanę licencji.

- Wiem, jak ominąć te wszystkie uciążliwe formalności.

- Ciekawa jestem!

Milczał przez chwilę. - Na Wyspie Szczęścia nie ma żadnych przepisów...

Melissa patrzyła w bok. - Myślę, że powinniśmy już ruszyć w drogę.

- Mówię serio, Melisso. Jesteś potrzebna na naszej wyspie. Czekają na ciebie i dzieci i dorośli. Co może być bardziej satysfakcjonujące niż praca tam, gdzie jest się ważnym i potrzebnym.

- Zgadza się z tobą, Barry, ale mimo to nie mogę wrócić na wyspę Kirka.

- Nigdzie nie znajdziesz takich miłych i kochanych dzieci...

- To bez sensu, Barry. Chodźmy już lepiej!

Pół dnia jeździli po mieście. Bez rezultatu. Albo pokoje nie odpowiadały wyobrażeniom Melissy, albo nie podobało jej się usytuowanie domu, to znowu wynajmujący wymagał cichego zachowania się dzieci, czego Melissa oczywiście nie mogła zagwarantować.

- To nie ma sensu, Barry! Jedziemy do domu. - Melissa była rozczarowana. - Nie chcę ci być ciężarem.

- Przykro mi, że nie mogłem ci pomóc. Muszę się dowiedzieć, kiedy jest najbliższy lot do Papeete. Biedny Kirk przejął moje obowiązki, jakby nie miał dość swoich. Najwyższy czas, żebym go odciążył. Dobrze, że mnie nie może wyrzucić - roześmiał się.

- Pewien jesteś?

- Na sto procent! Jesteśmy partnerami.

Melissa życzyłaby sobie, żeby tak wyglądały stosunki jej i Kirka. Ale tak nie było. Kirk miał Odette, u której mógł znaleźć pociechę...

## Rozdział 13

Clive ma doskonały pomysł, którym za jednym zamachem rozwiąże wszystkie twoje problemy, Melisso! - tymi słowami Nedra zaskoczyła swą pasierbicę następnego dnia przy śniadaniu.

- Zamieniam się w słuch - Melissa odstawiła filiżankę.

- Po prostu oszklimy boczną werandę. Uzyskamy w ten sposób wspaniałe pomieszczenie, w którym będziesz mogła przebywać z dziećmi. Poza tym jest przecież osobne wejście do ogrodu na tyłach domu, gdzie dzieci będą się mogły bawić i biegać do woli.

- Ale... ale... - przerwała Melissa jękając się. - Przecież dzieci hałasują. Nie mogę wam tego zrobić.

- Bzdura - odezwał się Clive. - Będzie nam to sprawiało przyjemność.

Pokręciła głową. - To bardzo miłe z waszej strony, ale nie chcę, żebyście brali na siebie jakieś niewygody z mojego powodu.

- Niepotrzebnie się tym martwisz. Wierz mi, że dobrze przemyśleliśmy tę sprawę.

Melissa milczała. Czy mogła odrzucić tę wielkoduszną propozycję nie raniąc Nedry i Clive'a? Oczywiście w ten sposób pokonałaby wszystkie trudności, niemniej przyjęła plany Clive'a z mieszanymi uczuciami. Nadal będzie mieszkała w domu swego ojca, który już nie był jej domem. Nie, musi znaleźć miejsce dla siebie. Swój własny dom.

- A czy to oszklenie nie będzie zbyt kosztowne? - spytała ostrożnie. - I czy w ogóle będzie możliwe?

- Dlaczego miałoby nie być możliwe? Ale tym się nie musisz przejmować. Zaraz po śniadaniu zadzwonię do szklarza, żeby przyjechał wziąć miarę. - Clive zatarł ręce. - Sam się tym zajmę.

Melissa czuła się, jakby jej ktoś zasznurował gardło.

- Mam straszny bałagan w pokoju. Myślę, że powinnam trochę posprzątać. - Melissa podniosła się od stołu.

Już w swoim pokoju położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Co miała począć?

Pukanie do drzwi obudziło Melissę. Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. O, rany! Była już pora obiadu. Musiała chyba zasnąć.

- Przyjdiesz na obiad, Melisso?

- Tak, Nedro, zaraz.

Pobiegła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą. Przypomniał jej się sen, który miała przed chwilą. Była na Wyspie Szczęścia. Spotkała Kirka, ale nie poznał jej. Szukała dzieci, ale nie znalazła żadnego...:

- Miałam straszny sen - powiedziała później przy stole. - Ale wskazał mi drogę. Już wiem, co mam robić!

Nedra i Clive spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Wracam na Wyspę Szczęścia!

- Co takiego? - Clive odłożył sztućce i otarł sobie usta serwetką.

- Opuszczam was, a werandę możecie zostawić tak, jak jest.

- Brak mi słów - Nedra patrzyła na Melissę kręcąc głową.

- Mnie także odebrało mowę - powiedział Clive.

- Kirk zbudował mi przedszkole odpowiadające moim wyobrażeniom, rozumiecie? Dzieci czekają na mnie. Bardzo chcą nauczyć się tego, co im mogę przekazać. Nawet jeśli nic mnie już nie łączy z Kirkiem, to mam tam dobrego przyjaciela, na którym zawsze mogę polegać.

- Barry'ego? - spytała Nedra.

- To w nim się powinnaś zakochać. Fajny facet i zna się na baseballu.

Melissa uśmiechnęła się. - Barry to mój prawdziwy przyjaciel, ale ta przyjaźń nie przerodzi się w nic innego.

Nedra wstała, podeszła do Melissy i objęła ją. - Będzie nam ciebie brakowało, Lisso. Ale, jeśli uważasz, że twoja decyzja jest słuszna, to nie będziemy ci jej odradzać. To twoje życie i sama musisz sobie przez nie wytyczyć drogę.

- Mam dobre przeczucia! - rzekła Melissa.

Dwa następne dni Melissa spędziła na wielkich przygotowaniach do podróży. Przejrzała swoją garderobę i wybrała tylko te rzeczy, które wydawały jej się stosowane do łagodnego klimatu południowego Pacyfiku. Wszystkie wełniane swetry, płaszcze, zimowe spodnie i grubsze spódnice zapakowała do wielkich toreb i schowała na dno szafy.

Nedra patrzyła z przerażeniem, jak Melissa upycha swe letnie rzeczy do walizek, które lada moment groziły pęknięciem.

- Clive się chyba załamie pod ciężarem twego bagażu! - rzekła.

- Nie martwcie się o mnie - odezwał się Clive, wchodząc w tym momencie do pokoju. - Ale czy samolocik Barre'go wzniesie się w górę z tym ładunkiem - to jest pytanie!

- Po co ci te wszystkie rzeczy? - spytała Nedra. - Nie masz chyba zamiaru wyemigrować na zawsze? A może?

- Kto to może wiedzieć... - Melissa wzruszyła ramionami. Umilkła i zaczęła zamykać walizki.

Jazda z Berkeley do San Francisco następnego dnia, przyjazd na lotnisko, pożegnanie z Nedrą i Givem - wszystko to minęło, jak sen. Melissie zdawało się, że porusza się w morzu waty, przez którą dźwięki docierały do niej jakby przytłumione.

Teraz siedziała już w samolocie, spoglądając na miasto i jego mosty, które wyglądały z góry jak zabawki. Przeżywała jakieś rozdzielenie uczuć. Była jednocześnie smutna i szczęśliwa, strwożona i zaciekawiona, obawiała się pierwszego spotkania z Kirkiem i nie mogła się już go



doczekać. Westchnęła. Po co wciąż ma o tym myśleć. Jak będzie już na Wyspie Szczęścia, to wszystko się jakoś ułoży.

- Melissa! - Barry pędził do niej przez całe lotnisko w Papeete. - Nie mogę w to uwierzyć! - popatrzył na nią badawczo.

- Ja sama nie mogę w to uwierzyć, Barry. I, proszę cię... nie mów nic Kirkowi.

- Obawiam się, że mimo to wkrótce dowie się o twoim przyjeździe. Nic mu nie umknie...

- Potrzebuję czasu, żeby rozeznąć się w swych uczuciach, zanim stanę przed Kirkiem. I żeby nie było nieporozumień - wróciłam tu tylko dla dzieci.

Barry przekrzywił głowę i spojrzał na nią z ukosa. - Coś ty, Melissa! Przed starym Barrym nie musisz niczego udawać - podniósł jej bagaże. - Nie wygląda na to, że są tam ubrania na krótki tylko urlop. Kirka szlag trafi z radości i ze szczęścia! - Pomógł Melissie wsiąść do swego samolotu. - Ciągle nie mogę tego pojąć! - zauważył potrząsając głową.

Po kwadransie Barry jak zawsze pewnie wylądował na Wyspie Szczęścia.

- Załatwię ci pokój w hotelu i przeschmugluję potajemnie. Mam nadzieję, że nie wpadnę na Kirka. Poczekaj tu na mnie, Melisso. Zaraz wrócę - powiedział Barry.

Melissa skinęła głową. Nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Widok głębokiego błękitu nieba, złotego słońca, białej plaży, barwnego przepychu tropikalnych kwiatów sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

Brakowało jej tego raj. Jak mogła stąd odjechać?

- Wszystko w porządku - usłyszała po dziesięciu minutach głos Barry'ego. - Masz tu klucz do pokoju numer dwadzieścia siedem. Twoje bagaże już tam zaniósłem. Znasz chyba to tylne wejście? Kirka chwilowo nie ma.

Następnego ranka Barry zastukał do drzwi pokoju Melissy. Rzeczywiście poprzedniego dnia udało jej się niepostrzeżenie przemknąć do hotelu.

- Droga wolna - zakomunikował. - Zaraz po śniadaniu Kirk wyszedł z hotelu. Nikt nie wie, dokąd poszedł i kiedy wróci.

- Mam nadzieję, że nie do wsi. Bo... chciałabym odwiedzić dzieci i zobaczyć, czy są jakieś zmiany w domku, który Kirk dla mnie zbudował.

- Sądzę, że nie ma niebezpieczeństwa, że on się gdzieś tam pojawi. Zbyt wiele wspomnień wiąże go z tym domkiem, żeby chciał go oglądać.

Melissa zmieniła temat. - Mam straszne wyrzuty sumienia wobec tych dzieciaków. Nie powinnam była ich rozczarować.

Barry zamyślił się. - Ale wróciłaś, a dzieci nie są tak pamiętliwe jak dorośli. Zobaczysz, przyjmą cię z otwartymi ramionami!

Barry poleciał do Papeete, a Melissa popedałowała na rowerze, który dostała od Kirka i który nadal stał w szopie, do wsi. Jak wytłumaczy dzieciom, że tak długo jej nie było? Czy zrozumieją prawdę? Niepokój wzrastał z każdym metrem, umykającym spod kół roweru. - Nędzny tchórz nie zmieni się w ciągu pół godziny w bohatera - szydziła półgłosem sama z siebie.

Ujrzała drewniany budynek, który Kirk budował z takim zapamiętaniem. Zsiadła z roweru i nagle stanęła jak wryta. O ścianę obok drzwi stał oparty rower Kirka. W pierwszej chwili Melissa chciała odwrócić się i uciec, ale jakaś siła ciągnęła ją dalej. Nagle usłyszała wesoły śpiew.

Najpierw śpiewał dobrze jej znany baryton, a potem jasne głosiki dzieci.

- Doskonale wam to wyszło! - Kirk pochwalił dzieci, gdy odśpiewały prostą melodyjkę do końca. - Zaśpiewamy jeszcze raz?

- Tak, tak! - dzieci krzyczały jedno przez drugie. I piosenka zabrzmiała ponownie.

Oczy Melissy wypełniły się łzami. Kirk zajmował się dziećmi zamiast niej, żeby nie odczuły zbyt rozczarowania. Serce skurczyło jej się boleśnie i na końcu tego tunelu, w którym żyła przez ostatnie kilka tygodni, zobaczyła światło. Kochała Kirka!

Wsiadła na rower i wróciła do hotelu. W głowie miała prawdziwą gonitwę myśli. Kochała Kirka. Ale on, co on do niej czuł? Czy mógł zapomnieć, jak go potraktowała? Czy wybaczy jej to? Nie miało sensu ukrywanie się przed Kirkiem. Jeśli chciała uzyskać odpowiedź na te pytania, musiała się z nim spotkać. Dziś wieczorem...

- Melissa? Czas na kolację! - Barry stał pod drzwiami. Melissa odetchnęła głęboko. A więc ta chwila, której się obawiała, już nadeszła. Zaraz zobaczy Kirka. Serce waliło jak oszalałe, robiło jej się zimno i gorąco na przemian.

- A więc, piękna księżniczko z wyspy - Barry podał jej ramię - czego tak się boisz? Przecież Kirk cię kocha...

Weszli do jadalni. Kirk stał przy oknie i patrzył w dal. Gdy Barry i Melissa zbliżyli się do niego, powoli odwrócił się. Oczy mu się rozszerzyły i zbladł pod opalenizną.

- Ach, panna Arnell? - skłonił się i mówił dalej: - Bardzo się cieszę, że znowu mogę panią u nas powitać. Czy zaszczyci nas pani dłużej swą obecnością, czy też bawi tu pani tylko przelotnie?

Melissa zadrżała na dźwięk tego lodowatego, szyderczego tonu. Ale szybko się opanowała. - To zależy od pogody, panie Dalkeith. I... - urwała spuściwszy głowę.

- No, przestańcie się już wygłupiać, moi drodzy! - wtrącił się Barry.

- Chodźcie lepiej do stolika, który wam zamówiłem. I wtedy się rozmówicie ze sobą, do diabła. Ale jedno wam powiem - dwojga tak upartych zakochanych nigdy jeszcze nie widziałem!

Nie przejmując się zmieszanymi spojrzeniami Melissy i Kirka wziął ich pod ramiona, poprowadził do stolika i siłą posadził na krzesłach.

- Co to ma znaczyć, Barry! - spytał Kirk rozżłoszczony.

- Powiedzmy, że wspomagam los - Barry mrugnął znacząco do Melissy i odszedł.

Milczeli długo. Kirk przemówił pierwszy. - Witaj w domu, Melisso

- szepnął patrząc jej w oczy. - Brakowało mi ciebie - jego głos nie brzmiał już lodowato, tylko łagodnie i czule. Melissa podniosła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało. - Mnie też ciebie brakowało - odrzekła ledwie słyszalnie.

- Czy jesteś głodna? - spytał po chwili. Pokręciła przecząco głową. Spojrzeli na siebie.

- Słońce zaraz zajdzie - uśmiechnął się Kirk. - Może pójdziemy na plażę, żeby to zobaczyć?

Melissa kiwnęła głową.

W milczeniu szli plażą obok siebie, a Melissa przypominała sobie ten wieczór, kiedy usłyszała pieśń Kirka. Some day my love will come znowu zabrzmiało jej w uszach.

Nagle Kirk stanął. - Chciałbym ci coś pokazać, Melisso.

- Tak?

- Gdy Barry poleciał do Kalifornii, żeby odwiedzić rodziców, pomyślałem, że może nawiąże kontakt z tobą. Dlatego napisałem do ciebie list, który chciałem mu dać. Ale potem przypominałem sobie twoje słowa, te przykre, nieprzejednane słowa, z którymi odprawiłaś mnie spod swego

progu i... schowałem list do szuflady. Ale teraz chciałbym, żebyś go przeczytała. Chodźmy do domu. Mam go w biurku w mojej wieży.

Z bijącym sercem Melissa wspinała się po krętych schodach, wspomnienia opadły ją ze wzmożoną siłą. Myślała o tym, jak namiętnie kochali się tutaj, pomyślała też o tym momencie, w którym zapukał Barry przynosząc wiadomość o zniknięciu Odette. Co było w liście, który Kirk chciał jej dać? Słowa pożegnania, czy słowa...

- Proszę, rozgość się - Kirk wskazał fotel przed kominkiem. - Przyniosę ten list. - Podeszedł do biurka, wyciągnął szufladę, wyjął z niej list i wręczył Melissie.

Stał bez ruchu obok niej, gdy rozrywała zapieczętowaną kopertę. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Melissa rozłożyła kartkę i przeczytała:

Kochany mały złocisty ptaszku! Jak mogłaś odlecieć tak daleko? Tak daleko od domu! Pacyfik Cię wola. I ja także wołam pełen tęsknoty: Wróć, mały złocisty ptaszku! Wróć do domu, do mnie! Potrzebuję Cię, pragnę Cię, Kocham Cię. Kirk.

Melissa opuściła kartkę i spojrzała na Kirka. Ujął ją za rękę. Wstała z fotela i...

- Melisso! Kocham cię!

- Och, Kirk! - przytuliła się do niego.

A gdy ją pocałował, Melissa wiedziała z całą pewnością, że Kirk kochał tylko ją, że będzie już na zawsze miała jego miłość. Miłość, która będzie tak mocna i żywa jak prastary figowiec i tak trwała, jak wieczna gra fal oceanu.